

## Wykład czwarty

### „Naturalnych barier” ciąg dalszy

Wzrost liczby mieszkańców naszego globu oraz dążenie przez nich do poprawy swego bytu prowadzą do nieustannego wzrostu produkcji. W świecie współczesnym wzrost produkcji pociąga za sobą przede wszystkim wzrost zużycia energii. Można nawet pójść dalej i stwierdzić, że energetyka stała się najważniejszą dziedziną współczesnej cywilizacji i „wehikułem” w przyszłość.

Właściwie cały postęp cywilizacji ludzkiej wiąże się z opanowaniem coraz to nowych i potężniejszych źródeł energii. Niektórzy uważają nawet<sup>1</sup>, iż historię naszej cywilizacji wyznaczyło siedem kolejnych „rewolucji energetycznych”.

Pierwszą z nich było opanowanie przez neandertalczyka, mniej więcej 70 tysięcy lat p.n.e., sztuki krzesania ognia, przedtem znanego mu tylko z pożarów wywoływanych zjawiskami naturalnymi. Ogień odstraszał dzikie zwierzęta i pozwalał człowiekowi na stworzenie warunków dla późniejszego osadnictwa.

Drugą było „wymyślenie” rolnictwa gdzieś około 6—7 tysięcy lat p.n.e., a następnie oswojenie niektórych zwierząt i wykorzystanie siły ich mięśni do prac polowych i transportu.

Trzecią „rewolucję energetyczną” stanowiło zastosowanie węgla drzewnego w „prametalurgii” (około 1400 r. p.n.e.).

Czwartą było pojawienie się prochu, najpierw, w XI w., w Chinach, a potem na szeroką skalę w XIV w. w Europie.

Piątą, która dała początek późniejszej „rewolucji przemysłowej”, było wprowadzenie do użycia węgla kamiennego w XVI w. najpierw przez Anglików, a później przez Holendrów i Szwedów. Węgiel dał początek maszynie parowej (XVIII w.).

<sup>1</sup> Por. L. Puiseux, *L'énergie et le désarroi post-industriel*, Paris 1973, s. 108—116.

Szóstą „rewolucją” było szerokie wprowadzenie kolei, a następnie silnika spalinowego (XIX w), czyli w rzeczywistości wykorzystanie ropy naftowej, co spowodowało, że: „energia pomocnicza stała się tak potężna i wygodna w użyciu, iż rozpoczęła eliminację «motorów mięśniowych» zwierząt i ludzi”<sup>2</sup>.

Siądma „rewolucja” zaczęła się od zrzucenia bomby atomowej na Hiroszimę. Tym samym ludzkość po raz pierwszy w swojej historii stworzyła sytuację, w której dzięki odkryciu tak potężnego źródła energii może nie tylko całkowicie się unicestwić, ale i „konsumować bez fizycznego uczestniczenia w produkcji”, i w której „atom, elektryczność i komputer stawiają pracę ludzką poza nawiasem, a ciało ludzkie staje się niekreatywne w pracy”<sup>3</sup>.

Tak mniej więcej wygląda w dużym skrócie „energologia”, przypisująca energii najbardziej rewolucyjną rolę w całym postępie ludzkości.

Czy istotnie wszystko da się wytłumaczyć tylko owymi rewolucjami, to już inna sprawa (nie miejsce tutaj na wchodzenie w różne takie „szczegóły” jak kultura i nauka, które w myśl powyższych twierdzeń miały się pojawiać „przy okazji” każdej kolejnej „rewolucji energetycznej”), ale faktem jest, że cywilizacja ludzka znacząca jest przełomami w opanowywaniu przez człowieka wymienionych wyżej nowych i coraz potężniejszych źródeł energii.

Jeśli rzeczywiście coś odróżnia świat teraźniejszy od przeszłego, to zapewne najbardziej syntetycznym wskaźnikiem tego jest ilość konsumowanej przez człowieka energii. Wskaźnik ten jest nawet bardziej wymowny niż powszechnie stosowany wskaźnik dochodu narodowego na jednego mieszkańca.

O roli energii w życiu współczesnego człowieka nie trzeba nikogo przekonywać. Warto jednak podać kilka podstawowych informacji na ten temat.

Otóż dorosły mężczyzna ma siłę równo tylko 0,08 KM, czyli w ciągu godziny może wykonać pracę odpowiadającą 0,06 kWh. Inaczej mówiąc, 8-godzinny wysiłek fizyczny dorosłego mężczyzny równa się w przybliżeniu tylko 0,5 kWh, tzn. ilości

<sup>2</sup> Tamże, s. 116.

<sup>3</sup> Tamże.

energii zużytej w tym czasie przez 60-watową żarówkę. Jego całoroczna praca fizyczna stanowi zatem ekwiwalent 150 kWh. Spójrzmy na nasze rachunki za światło tylko za jeden miesiąc, a przekonamy się, jak wrażliwy są nasi najwięksi siłacze!

Na pocieszenie można tylko dodać, że w rzeczywistości powyższe porównanie jest nieco korzystniejsze dla człowieka, gdyż maszyny i inne odbiorniki energii tracą jej bardzo wiele w trakcie „konsumpcji”. Tak zwana sprawność silników spalinowych waha się w granicach 20—60%, elektrycznych zaś — w granicach 60—95%. Średnio więc około połowy „energii pierwotnej” jest po prostu marnotrawione. Stąd dorosły mężczyzna pracujący fizycznie stanowi faktycznie „ekwiwalent” 300, a nie 150 kWh. Ciągłe jednak siła ludzkich mięśni jest wyjątkowo mizerna...

W 1970 r. w 20 rozwiniętych krajach (w tym m. in. socjalistycznych) na jednego „ludzkiego” robotnika w przemyśle przypadało przeciętnie 45 robotników „energetycznych” w postaci „energii wspomagającej” (w Polsce w tym czasie 37)<sup>4</sup>. W ogóle zaś w 1971 r. na jednego mieszkańca globu ziemskiego przypadało aż 54 „niewolników energetycznych”. Jasne jest więc, że gdyby współczesny człowiek nie posługiwał się masowo „energiami wspomagającymi”, to nie byłby współczesnym człowiekiem.

Jeszcze bowiem około 2 tysięcy lat p.n.e. człowiek był niemal całkowicie zdany na siłę własnych mięśni. Ale już w 1920 r. zużył 1,5 miliarda ton surowców energetycznych, w przeliczeniu na węgiel, w 1970 r. — 7 miliardów ton, a na rok 2000 niektórzy przewidują aż 40 miliardów ton.

Interesująco wygląda historia cywilizacji ludzkiej na tle ewolucji udziału poszczególnych nośników energii w globalnym jej zużyciu.

Otóż jakieś pół miliona lat temu człowiek w całości polegał na sile mięśni, wyłącznie własnych, a potem także zwierzęcych<sup>5</sup>. Jeszcze 4 tysiące lat temu polegał na niej w 70%, natomiast w 25% na resztkach organicznych (głównie nawóz naturalny) i w 5% na drewnie, które spalał. Mniej więcej w 1500 r. siła mięśni stanowiła już tylko 10% w „bilansie energetycznym”,

<sup>4</sup> Por. S. Albinowski, *Człowiek i energia*, „Trybuna Ludu” z 2 stycznia 1974 r.

<sup>5</sup> Por. tamże. Cytowane w artykule S. Albinowskiego obliczenia pochodzą z pracy N. N. Siemionowa zamieszczonej w czasopiśmie „Horizont” 1973, nr 45.

odpady organiczne 20%, a drewno 70%. W 1910 r. na resztki organiczne przypadło 16%, tyle samo na drewno, na węgiel aż 65%, a 3% na ropę naftową. W 1972 r. drewno stanowiło już tylko 10%, węgiel 32%, ropa naftowa 34%, a gaz ziemny 18%. W 2000 r. ropa naftowa ma stanowić 30%, gaz ziemny 25%, energia atomowa i hydroenergia 23%, a węgiel 22%, co nie pozostawia już miejsca dla drewna, a także dla odpadów organicznych i mięśni.

W powyższym porównaniu najbardziej interesująca jest oczywiście wspomniana ewolucja, tak wydatnie „przyspieszona” w bieżącym stuleciu, a zwłaszcza rola ropy naftowej, której głównie poświęcamy niniejszy wykład. Przyjrzyjmy się więc jej nieco bliżej.

Otóż jak wynika z przytoczonych danych, jeszcze 65 lat temu udział ropy naftowej w ogólnym zużyciu energii wynosił tylko 3% i w porównaniu z węglem była ona 15-krotnie „mniej ważna”. Dziś „królestwo” ropy naftowej jest absolutne i według wszelkiego prawdopodobieństwa nie utraci go ona przed końcem naszego stulecia.

Wprawdzie kariera ropy naftowej zaczęła się jeszcze w ubiegłym wieku, ale tak naprawdę do dopiero wiek XX, a zwłaszcza jego druga połowa obfituje we wręcz dramatyczne jej przykłady. I choć pierwszym ważniejszym osiągnięciem w dziedzinie wykorzystania tego surowca był wynalazek Ignacego Łukasiewicza — lampa naftowa, w której zastosował on wydestylowaną przez siebie z ropy naftę (1853 r.), to mimo całego uznania dla geniuszu naszego rodaka trzeba stwierdzić, że nie lampa naftowa stała się początkiem kariery ropy. Kariera ta rozpoczęła się od skonstruowania przez Karola Benza w 1866 r. samochodowego silnika spalinowego o mocy aż... 0,75 KM.

W każdym jednak razie i lampa naftowa, i silnik spalinowy (choć nie tylko, gdyż ropy naftowej używano i do innych celów) spowodowały, że już w 1890 r. wydobyto jej 10 milionów ton. Tak się akurat złożyło, że duże złoża tego surowca odkryto w Pensylwanii w USA już w 1857 r.<sup>6</sup>, kiedy rewolucja przemysłowa zaczęła się właśnie przenosić do tego kraju. Ułatwiło to wydatnie karierę ropy naftowej i przyczyniło się do tego, że mi-

<sup>6</sup> Por. „The Wall Street Journal” z 30 listopada 1973 r.



mo odkrycia zasobnych złóż jeszcze w wielu innych krajach, USA dzierżyły prym w jej produkcji od początku bieżącego stulecia aż do 1975 r., kiedy straciły go na rzecz ZSRR.

Powracając jednak do zagadnień bardziej ogólnych — zgodzić się należy, że rozwój cywilizacji bez „rewolucji energetycznych” nie byłby możliwy, choć różnie można by określać poszczególne jej etapy i zasięg. Trudno też byłoby wartościować, czy jakieś odkrycia i wynalazki o przełomowym znaczeniu są bardziej czy mniej „ważne”. Każde z odkryć i wynalazków było wielkie na miarę swej epoki. Opanowanie sztuki krzesania ognia bądź oswojenie zwierzęcia i nauczenie się korzystania z jego siły pociągowej było zapewne nie mniej ważne niż wynalezienie prochu, koksu czy silnika spalinowego. Resumując można by więc powiedzieć, że cała „filozofia” rozwoju cywilizacji jest ściśle związana ze swoistą „energożercością” człowieka, czyli po prostu z poziomem jej konsumpcji, który wzrastał wraz z rozwojem cywilizacji.

W 1973 r. konsumpcja tzw. energii handlowej (tj. z wyjątkiem drewna, nawozów naturalnych i innych paliw statystycznie nieuchwytnych) na jednego mieszkańca naszego globu wynosiła 2074 kilogramów paliwa umownego (w przybliżeniu równego wartości opałowej węgla)<sup>7</sup>. Od tego czasu sytuacja zapewne nie uległa większym zmianom (brak nowszych danych w momencie pisania niniejszego) ze względu na kryzys energetyczny, recesję na Zachodzie, no i oczywiście przyrost naturalny.

Trudno dokładnie powiedzieć, ile zużywano energii na głowę przed „erą przemysłową”, ale można zakładać, że był to skromny ułamek obecnej konsumpcji. Skoro jeszcze dzisiaj są kraje, w których wspomniana konsumpcja „handlowa” wynosi 12 kilogramów, to zapewne kiedyś było jeszcze gorzej.

Konsumpcja energii wzrastała w miarę rozwijania się rewolucji przemysłowej. Tylko w latach 1950—1973 światowa konsumpcja energii na jednego mieszkańca kuli ziemskiej wzrosła o 1073 kilogramów p.u.<sup>8</sup>, czyli więcej niż podwoiła się i to mimo całej „eksplozji demograficznej”. Jednakże i w tym przypadku, podobnie zresztą jak we wszystkich innych, doszła do głosu nie-

<sup>7</sup> Por. *World Energy Supplies 1970—1973*, UN, New York 1975, seria J, nr 18, s. 2.

<sup>8</sup> Por. tamże, s. 3.

równomierność zarówno w układzie grup krajów, jak i między poszczególnymi krajami. W 1973 r. bowiem konsumpcja energii w rozwiniętych krajach kapitalistycznych wynosiła 6531 kilogramów p.u. na głowę, w europejskich krajach socjalistycznych — 4964 kilogramy, w azjatyckich krajach socjalistycznych już tylko 602 kilogramy i wreszcie w krajach rozwijających się zaledwie 388 kilogramów na jednego mieszkańca<sup>9</sup>, czyli 17 razy mniej niż w pierwszej z wymienionych grup krajów.

Jeszcze bardziej rażące różnice występują jednak, gdy porównamy poszczególne kraje. Pomińmy już zupełnie „anormalne” przypadki, takie jak Katar czy „szejkanaty naftowe”, w których konsumpcja energii na głowę przekraczała w omawianym roku 26 000 kilogramów p.u., ale weźmy konsumpcję w USA. Otóż wynosiła ona w 1973 r. 11 897 kilogramów p.u. na głowę, podczas gdy w Burundii, Górnej Wolcie, Rwandzie i na Timorze po około 12—13 kilogramów<sup>10</sup>. Rozpiętość jest więc jak 1:1000, a gdyby tak jeszcze porównać „normę katarską”, to nawet większa niż 1:2000!

Gdyby się chciało zapewnić obecnym 4 miliardom mieszkańców Ziemi konsumpcję energii według „norm amerykańskich” z 1973 r., to musiałaby ona wynieść około 47 miliardów ton p.u. wobec zapewne nie więcej jak 8 miliardów ton, które świat zużywa dzisiaj. Według „normy katarskiej” zużycie to byłoby nawet 13-krotnie większe niż obecnie, tj. wyniosłoby około 100 miliardów ton p.u. Gdyby jednak świat konsumował energię według „normy Górnej Wolty”, to konsumpcja ta nie przekraczałaby 52 milionów ton p.u., a więc byłaby w przybliżeniu o 6 milionów ton mniejsza niż w samej tylko Szwecji w 1973 r.

Załóżmy nawet, że konsumpcja energii w krajach bardziej rozwiniętych kryje w sobie olbrzymie marnotrawstwo i ekstrawagancję. Trudno jest jednak dokładnie ustalić, jaki jej poziom można uważać za „przyzwoity”. Przyjmijmy zatem, że tym jakimś „przyzwoitym” poziomem jest konsumpcja energii w europejskich krajach socjalistycznych, która wynosi dzisiaj powyżej 5000 kilogramów p.u. na jednego mieszkańca. Jak widzimy, przeciętna tej konsumpcji w krajach rozwijających się,

<sup>9</sup> Por. tamże, s. 3.

<sup>10</sup> Por. tamże, s. 3 i 13.

w tym i w azjatyckich krajach socjalistycznych, bardzo daleko odbiega od poziomu uznanego przez nas za możliwy do przyjęcia (z wyjątkiem oczywiście niektórych krajów „naftowych”). Przy tym taki kraj jak Indie zarejestrował nawet spadek konsumpcji energii na głowę w latach 1969—1972 ze 188 do 186 kilogramów p.u. Zresztą Indie nie są tu wyjątkiem. W omawianym okresie na 151 krajów rozwijających się spadek wystąpił aż w 25 krajach, a w wielu innych przyrost konsumpcji energii na jednego mieszkańca graniczył ze stagnacją. Wyrównanie istniejących różnic jest więc naprawdę przysłowiową muzyką przyszłości. Trudno zresztą nawet przewidzieć, kiedy kraje rozwijające się byłyby w stanie osiągnąć wspomniany wyżej „przyzwyczajony” poziom konsumpcji energii na głowę.

Ale skoro jesteśmy przy nierównomierności konsumpcji, to przyjrzyjmy się także nierównomierności produkcji tzw. „energii pierwotnej” w świecie (węgla, ropy naftowej, gazu ziemnego oraz hydroenergii i energii jądrowej).

Otóż w 1972 r., tj. w ostatnim „normalnym” roku, w którym nie wystąpiły jeszcze żadne perturbacje, produkcja „energii pierwotnej” w świecie wyniosła 7565 milionów ton p.u., w tym węgla kamiennego i brunatnego 2430 milionów ton, ropy naftowej 3340 milionów ton p.u. (tj. 2,5 miliarda ton według własnej wagi ropy)<sup>11</sup>, gazu ziemnego 1616 milionów ton (czyli 1,2 biliona metrów sześciennych) oraz hydroenergii i energii rozszczepialnej — 179 milionów ton p.u.<sup>12</sup>

Jak więc widać, paliwa płynne stanowiły w 1972 r. 45% wszystkich pierwotnych źródeł energii produkowanej w świecie, węgiel ponad 32%, gaz ziemny ponad 21%, a pozostałe źródła tylko 2% (dane te odbiegają od danych N.N. Siemionowa, który nieco rozszerzył pojęcie „energii pierwotnej”).

Nie będziemy już więcej sięgać do historii kariery ropy naftowej, ale warto wspomnieć, że węgiel, niemal jedyne źródło energii w pierwszej fazie rewolucji przemysłowej, został zdetrozowany przez ropę naftową, która stała się nie tylko najbardziej uniwersalnym paliwem, ale także cennym surowcem che-

micznym. Razem z gazem ziemnym, który często jej towarzyszy, stanowiła w 1972 r. 2/3 całej produkcji „energii pierwotnej”. W tym skądinąd ekonomicznie i technicznie uzasadnionym zjawisku przestawiania się na bardziej „wygodne” źródła energii kryje się podstawowa przyczyna późniejszych napięć, które nazwano „kryzysem energetycznym” lub „naftowym”.

Produkcja „energii pierwotnej” w świecie, wynosząca w 1972 r. prawie 7,6 miliarda ton nie tylko była za niska, ale w dodatku jej rozmieszczenie nie pokrywało się z rozmieszczeniem konsumpcji. Więcej niż 1/3 produkowanej „energii pierwotnej”, tj. 2,6 miliarda ton p.u., trafiała w związku z tym do handlu światowego, który odgrywa zasadniczą rolę w uzupełnianiu deficytu paliwowego poszczególnych regionów i krajów.

W omawianym roku największy deficyt „energii pierwotnej” (prawie 1,5 miliarda ton p.u.) miały rozwinięte kraje kapitalistyczne. Europejskie kraje socjalistyczne miały dla odmiany niewielką nadwyżkę (około 80 milionów ton p.u.). Kraje rozwijające się miały dużą nadwyżkę (prawie 1,6 miliarda ton p.u.), a azjatyckie kraje socjalistyczne również nadwyżkę, ale minimalną.

Jednakże powyższy czwórczłonowy układ sytuacji nie wyjaśnia sytuacji w układzie regionalnym i w układach krajowych. Niemniej wniosek generalny jest oczywisty — największy konsument energii w świecie, tj. rozwinięte kraje kapitalistyczne, ma jednocześnie deficyt w produkcji „energii pierwotnej”, natomiast najmniejszy konsument energii, tj. kraje rozwijające się, jest zarazem dysponentem jej największych nadwyżek. Fakt ten stał się bodajże „centrum wydarzeń” w międzynarodowych stosunkach gospodarczych od „wojny ramadańskiej”, jako że został w dość zaskakujący sposób wykorzystany przez kraje OPEC, o czym będzie jeszcze mowa w innym wykładzie.

Przechodząc jednak do sytuacji w układzie regionalnym, warto zwłaszcza zwrócić uwagę na sytuację energetyczną niektórych krajów. Tak np. w 1972 r., tj. ostatnim „normalnym” roku z punktu widzenia omawianych zagadnień, Ameryka Północna miała deficyt „energii pierwotnej” w wysokości ponad 300 milionów ton p.u., ale deficyt ten w całości (prawie 400 milionów ton p.u.) przypadł na USA, podczas gdy Kanada miała tu nadwyżkę.

<sup>11</sup> Jedna tona ropy naftowej równa się średnio wartości kalorycznej półtorej tony węgla kamiennego, przyjmowanego jako paliwo umowne.

<sup>12</sup> Por. *World Energy Supplies...*, jw., s. 2, 50 i 133.



Najbardziej deficytowa spośród rozwiniętych krajów kapitalistycznych była bodajże Japonia, która prawie w 9/10 polegała na imporcie.

Europa Zachodnia miała w tym czasie deficyt w wysokości około 850 milionów ton p.u. i tylko Holandia dysponowała tu nadwyżką (około 6 milionów ton p.u., głównie gaz ziemny).

Australia i Oceania miały minimalną nadwyżkę.

Wśród krajów RWPG dużą nadwyżkę miał ZSRR (około 133 milionów ton p.u.), Polska (20 milionów ton p.u.) i minimalną Rumunia. Pozostałe kraje miały znaczne deficyty.

Afryka miała *en bloc* nadwyżkę (w przybliżeniu 310 milionów ton p.u.), ale nadwyżka ta dotyczyła tylko Libii, Algierii, Nigerii, Gabonu i w mniejszym stopniu Republiki Południowej Afryki, Egiptu, Tanzanii i Angoli. W pozostałych krajach występował deficyt, przy czym w niektórych znaczny.

Ameryka Południowa wykazywała nadwyżkę (około 125 milionów ton p.u.), ale w układzie krajowym dużą nadwyżkę miała Wenezuela, oraz w mniejszym stopniu Ekwador, Boliwia, Kolumbia i Trynidad. Bliskie samowystarczalności były: Meksyk (obecnie już jest) oraz Peru i Argentyna. Inne kraje miały duże deficyty, ale istnieją szanse poprawy sytuacji w niektórych z nich, zwłaszcza w Brazylii.

Azję (bez krajów socjalistycznych) można z omawianego punktu widzenia podzielić na dwie podstawowe części: Środkowy Wschód i pozostałe kraje. Środkowy Wschód miał i ma największą nadwyżkę w świecie w produkcji „energii pierwotnej” (w 1972 r. 1,1 miliarda ton p.u.), natomiast pozostała część kontynentu miała deficyt rzędu 300 milionów ton p.u. Ale i w tej drugiej części sytuacja jest nie wszędzie jednakowa; Indonezja, Brunei, Sarawak i Afganistan dysponowały nadwyżką, pozostałe zaś kraje wykazywały deficyt.

Tak więc w układzie geograficznym sytuacja energetyczna w świecie jest wysoce złożona. Oczywiście, nowe odkrycia geologiczne i rozszerzenie eksploatacji już odkrytych złóż paliw mogą do powyższego obrazu wnieść w przyszłości wiele poprawek, ale faktem jest, że istnieją na świecie regiony i kraje uprzywilejowane i upośledzone pod tym względem przez naturę.

Nic zatem dziwnego, że handel paliwami rozwinął się na

ogromną skalę, a ropa naftowa jest obecnie najważniejszym towarem w handlu światowym<sup>13</sup>. Zdystansowała ona wszystkie inne towary, stając się bez żadnej przesady „czarnym płynnym złotem”, a może nawet artykułem bardziej poszukiwanym i „cenniejszym” niż złoto...

Ale co będzie dalej? Czy energia, która znalazła się niewątpliwie na jakimś „historycznym zakręcie”, stanie się bodźcem przyspieszającym dalszy rozwój gospodarki światowej, czy też stanie się jego hamulcem?

Dla wielu Czytelników, zwłaszcza po dotychczasowych wywodach, może się wydać dziwne, że np. w USA konsumpcja „energii pierwotnej” stanowi tylko około 2,3% produktu społecznego brutto, w pozostałych zaś krajach zaledwie 1,6%<sup>14</sup>. A jednak energia odgrywa centralną rolę w rozwoju gospodarczym.

Tak niski udział kosztów tej energii w produkcji brutto wynika przede wszystkim z zaniżenia jej ceny. Ustalenie prawidłowej ceny na „energię pierwotną” jest jednak prawie niemożliwe. Wydobywane ze skorupy ziemskiej paliwa stałe i płynne tym się różnią od innych kopalin, że raz zużyte nie mogą już być odtworzone. Stąd ich cena powinna być zdecydowanie wyższa od ceny jakiegokolwiek innego surowca. Ale o ile? Tego już nikt nie umiałby powiedzieć.

W każdym razie, światowa konsumpcja energii w latach 1950—1970 wzrastała rocznie o 5%/o, ropy naftowej zaś o 7,6%/o i w obu przypadkach tempo to zaczęło pod koniec okresu wzrastać<sup>15</sup>. Dało to w efekcie potrojenie się konsumpcji energii w świecie w omawianym 20-leciu.

Wyżej już wspominaliśmy, że tylko dla wyrównania poziomu jej konsumpcji w świecie trzeba by zwiększyć produkcję co najmniej sześciokrotnie i że same tylko USA z 6% ludności globu konsumują 1/3 energii wytwarzanej na świecie. Taki stan nie może trwać dłużej. Produkcja energii w świecie musi więc wzrastać, zarówno w krajach, które mają już wysoką konsumpcję, jak i w tych o niskiej konsumpcji, przy czym w tych ostatnich nawet w większym stopniu. Jest tylko kwestia, w jakim

<sup>13</sup> Według wstępnych obliczeń jej eksport w 1974 r. wyniósł wartościowo około 110 miliardów dolarów.

<sup>14</sup> Por. Ph. Connelly, R. Perlman, *The Politics of Scarcity*, London 1975, s. 26.

<sup>15</sup> Por. tamże.

tempie, gdzie przede wszystkim i przy wykorzystaniu jakich źródeł.

Dotychczasowa produkcja energii, jak już wspominaliśmy, opierała się głównie na ropie naftowej. Ona też stała się i pozostanie krytycznym punktem w całej „strategii energetycznej” do momentu zastosowania nowych źródeł energii.

W okresie 10-lecia 1960—1970 konsumpcja ropy naftowej w świecie rosła w tempie 8,1% rocznie i pod koniec tego okresu wyniosła 2,3 miliarda ton. Gdyby w latach 1970—1980 roczne tempo utrzymało się na poziomie tylko 7%, to w 1980 r. konsumpcja tego surowca wyniosłaby już 4,4 miliarda ton. I gdyby nawet w okresie 1980—1990 tempo to spadło do 5% rocznie, to i tak konsumpcja ropy w 1990 r. wyniosłaby 7,5 miliarda ton. Zakładając, że w następnym dziesięcioletnim okresie, tj. w latach 1990—2000, jej konsumpcja będzie wzrastała tylko o 4% rocznie, dla roku 2000 otrzymamy już 10,9 miliarda ton.

Przy dalszym, tj. w pierwszym 10-leciu XXI w., rocznym wzroście konsumpcji już tylko o 2,5%, w 2010 r. wyniosłaby ona 13,7 miliarda ton. I wreszcie, gdyby w następnym 15-leciu tempo konsumpcji ropy przyrastało zaledwie o 1% rocznie, to i tak w 2025 r. konsumpcja ta wyniosłaby aż 15,9 miliarda ton<sup>16</sup>.

Jak widać z powyższego, nawet przy malejącym rocznym tempie wzrostu konsumpcji, która po 2010 r. weszłaby w stadium stagnacji, bezwzględna ilość konsumowanej ropy ciągle by jeszcze wzrastała i pod koniec omawianego okresu, a więc za niecałe 50 lat, przekroczyłaby obecny poziom sześciokrotnie. Jednakże powyższe liczby wszystkiego nie wyjaśniają. Uzupełnijmy je więc dodatkowymi porównaniami.

W kontynuowanie tempa wzrostu konsumpcji ropy naftowej z lat sześćdziesiątych nikt już nie wierzy<sup>17</sup>, ale warto zobaczyć, co może się stać przy powyższych skromniejszych założeniach.

Otóż rozpoznane do tej pory (dane z 1973 r.) zasoby ropy naftowej mogą wystarczyć mniej więcej do lat dziewięćdziesiątych.

<sup>16</sup> Por. L. Puisseux, *L'energie...*, jw., s. 30.

<sup>17</sup> Według wstępnych danych konsumpcja paliw płynnych w krajach niesocjalistycznych spadła w 1975 r. o 4% (por. „Le Monde” z 9 kwietnia 1976 r.). W 1974 r. wzrost produkcji ropy naftowej w świecie wyniósł tylko 0,7%.

Nikt jednak nie może być tak nierozsądny, żeby zwiększać na tej podstawie konsumpcję ropy naftowej, a potem jednego dnia raptownie ją przerwać. Sytuacja wygląda w tej chwili tak, że jeśli świat chce się rozwijać, to konsumpcja ropy naftowej musi wzrastać. Każde inne rozwiązanie wymagałoby czasu.

Ale co tak naprawdę oznacza omawiany wzrost konsumpcji ropy naftowej?

Przyjmijmy, że sytuacja będzie się układała w przyszłości według powyższego „scenariusza”, i zobaczmy, co z tego wynika.

Jeśli tempo konsumpcji ropy naftowej utrzymałoby się w obecnym 10-leciu na poziomie 7% rocznie, to dla zaspokojenia zapotrzebowania w całym tym okresie wystarczą złoża o zasobności 31,5 miliarda ton (choć, ze względu na kryzys naftowy, może nawet mniejsze), a na następne 10-lecie trzeba by mieć w zapasie około 57 miliarda ton. Tyle akurat już mamy. Rezerwy na lata dziewięćdziesiąte powinny już wynosić 89,5 miliarda ton. Tę ilość należałoby jednak do tego czasu znaleźć. Inaczej mówiąc, do końca bieżącego stulecia byłoby potrzebne w sumie 178 miliardów ton ropy naftowej, a więc 2 razy więcej niż wynoszą stwierdzone dotąd „pewne” zasoby!

Kontynuując dalej te obliczenia otrzymalibyśmy, że od 1970 r. do 2030 r. łączna konsumpcja wyniosłaby 604 miliardy ton ropy naftowej, z czego w ostatnim 10-leciu — jeszcze 160 miliardów ton, a więc ponad pięciokrotnie więcej, niż przewiduje się na obecne 10-lecie. Przy tym „na wszelki wypadek” powinno się mieć jeszcze w zapasie około 176 miliardów ton, aby móc się potem jakoś w ogóle „wyplatać” z konsumpcji ropy. A więc do 2030 r. należałoby dysponować zasobami rzędu 780 miliardów ton<sup>18</sup>. Czy to jest możliwe?

Ostatnie szacunki dotyczące „ostatecznych” zasobów ropy naftowej w świecie, dokonane przez amerykańską korporację naftową Mobil, opiewają tylko na 273 miliardy ton<sup>19</sup>, z czego prawie połowa pozostaje jeszcze do odkrycia, a w tej niby już odkrytej połowie nie wszystko jeszcze jest pewne. Według opinii wiceprezydenta wspomnianej korporacji produkcja ropy naftowej może osiągnąć szczyt w latach osiemdziesiątych i na po-

<sup>18</sup> Por. L. Puisseux, *L'energie...*, jw., s. 32.

<sup>19</sup> Por. „The Petroleum Economist”, czerwiec 1975.



czątku lat dziewięćdziesiątych, a potem musi zacząć spadać<sup>20</sup>. Byłoby to akurat odwrotnie, niż wynika z cytowanego wyżej „scenariusza” konsumpcji ropy naftowej. Po prostu ropy brakuje. Ale czy można to uznać za pewnik?

Szacunki co do wielkości zasobów ropy naftowej wprawdzie się dość poważnie różnią — niektóre wahają się nawet w granicach 170—340 mld ton<sup>21</sup>, a więc „tylko” o 100% — wielu ekspertów podziela jednak opinię korporacji Mobil, tj. że można liczyć na pewno na 270 miliardów ton, z czego 100 miliardów ton spod dna morskiego, ale jednocześnie dodaje do tej ilości około 200 miliardów ton tzw. rezerw wtórnych (recykliczacja) i około 150 miliardów ton ropy zawartej w łupkach i piaskach bitumicznych, co dawałoby łącznie 620 miliardów ton<sup>22</sup>. Jeśliby tak było, to sytuacja nie byłaby aż tak zła. Jak jest jednak naprawdę?

Zapewne nikt nie wie tego dokładnie. Dane dotyczące złóż surowców należą do najbardziej tajnych informacji w świecie i np. nawet amerykańska agencja wywiadowcza CIA nie może nieraz tych informacji „uzyskać” od... amerykańskich korporacji naftowych.

Zresztą raz po raz słyszymy o nowych rewelacyjnych odkryciach złóż ropy naftowej. Podobno ostatnio Wenezuela natrafiła w basenie Orinoko na złoża oceniane na 425 miliardów ton, z czego jednak tylko 10% miałyby się nadawać do eksploatacji przy obecnych metodach technicznych<sup>23</sup>. A np. szacunki dotyczące złóż ropy w Chinach oraz na ich wodach przybrzeżnych wahają się w granicach od 2,7 do... 70 miliardów ton<sup>24</sup>.

Bywa też i tak, że pierwsze rewelacje są potem rewidowane w dół. Ale bywało też i tak — jak w 1938 r., kiedy konsumpcja ropy naftowej w świecie była czterokrotnie mniejsza niż obecnie — że sądzono, iż jej złoża wystarczą tylko na 15 lat...

Jedno nie ulega jednak wątpliwości, to mianowicie, że jeśli konsumpcja ropy naftowej miałaby w świecie wzrastać i to nawet w tempie malejącym, to odkrycia nowych złóż muszą być

<sup>20</sup> Por. „International Herald Tribune” z 17—18 maja 1975 r.

<sup>21</sup> Por. „The Petroleum Economist”, jw.

<sup>22</sup> Por. tamże.

<sup>23</sup> Por. L. Puisieux, *L'energie...*, jw., s. 29.

<sup>24</sup> Por. „Le Monde” z 12 września 1975 r.

dokonywane w tempie rosnącym. Jeśli tak się nie stanie, to trzeba się zacząć przygotowywać do szybkiego przejścia na inne źródła energii, które zastąpiłyby ropę najpóźniej pod koniec bieżącego stulecia, do czego zresztą i tak byłoby potrzebne podwojenie obecnych „pewnych” złóż (Anglosasi nazywają je fachowo „P-P”, czyli *proved and prospective*), które na dzień 1 stycznia 1974 r. wynosiły ponad 100 miliardów ton.

Nie budzi wątpliwości także inna sprawa, a mianowicie olbrzymie koszty poszukiwań i eksploatacji coraz „trudniejszych” złóż. W tej dziedzinie sytuacja ulega jednak dalszym komplikacjom. Tak np. na Środkowym Wschodzie koszt wydobywania 1 baryłki ropy (na 1 tonę przypada 7—7,3 baryłek) wynosi średnio 10 centów USA (w Arabii Saudyjskiej nawet 8 centów)<sup>25</sup>, natomiast przy jej eksploatacji z dna morskiego z głębokości 300—400 metrów — około 4 dolarów, a z głębokości 400—2000 metrów — 5—8 dolarów. Tyle także wynosić będzie początkowy koszt wydobywania ropy na Alasce<sup>26</sup>. Tak duże rozpiętości w kosztach wydobywania (jak 1:100) poważnie komplikują same poszukiwania i eksploatację złóż. Na Morzu Północnym inwestycje na 1 baryłkę eksploatowanej ropy wynoszą dziś 7,5 tysiąca dolarów, na Alasce 4 tysiące dolarów, a w Arabii Saudyjskiej 200—300 dolarów<sup>27</sup>. Różnice znów są więc duże (jak 1:25—35).

Do niedawna kapitalistyczne firmy naftowe dokonywały nakładów inwestycyjnych z własnych środków. Konieczność wychodzenia poza „środkowowschodnie Eldorado”, które zaczęło się stawać zbyt niebezpieczne, postawiła jednak na porządku dnia problem znalezienia dostatecznych funduszy na poszukiwania i eksploatację trudniej dostępnych i mniej wydajnych złóż.

Pewnie kiedyś świat dowie się całej prawdy o kulisach wzrostu cen ropy naftowej, ale zanim ją pozna, warto powiedzieć, że w ich podniesieniu były zainteresowane zarówno kraje OPEC, jak i zachodnie korporacje naftowe. Kraje OPEC dlatego, że dzięki zwiększeniu wpływów chciały przyspieszyć swój rozwój gospodarczy, a korporacje dlatego, że zwiększone zyski były im potrzebne do sfinansowania większych nakładów na poszukiwa-

<sup>25</sup> Por. „The Economist” z 26 kwietnia 1975 r.

<sup>26</sup> Por. „The Petroleum Economist”, luty 1975.

<sup>27</sup> Por. „The Economist” z 26 kwietnia 1975 r.

nia i eksploatację ropy. Ponadto trzeba było jakoś zrównać skrajne ceny i „wprostować” rachunki... Jednakże mimo pięciokrotnego wzrostu cen ropy naftowej w latach 1971—1975 i raptownego wzrostu zysków korporacji naftowych, zwłaszcza w 1974 r., szacuje się, że korporacjom tym i tak brakuje około 40% potrzebnych na powyższe cele funduszy<sup>28</sup>.

Dość często wyrażany jest pogląd, że cena baryłki ropy w granicach 4—6 dolarów — choć inni uważają, że w granicach 7—9 dolarów — mogłaby otworzyć „nową erę” wprowadzania alternatywnych źródeł energii. T. Enders, zastępca sekretarza stanu USA, H. Kissingera, ds. ekonomicznych uważał nawet, że w tym celu cena ropy nie może spaść poniżej 10—11 dolarów za baryłkę<sup>29</sup>. Można teraz zrozumieć, dlaczego USA po gwałtownych atakach na OPEC za podniesienie ceny ropy raptem, ustami H. Kissingera, na początku 1975 r. zaproponowały innym krajom kapitalistycznym ustalenie... dolnego pułapu cen tego surowca (nieoficjalnie mówiono o cenie 9—11 dolarów za baryłkę)<sup>30</sup>.

Zaczęto się mianowicie obawiać, że ewentualne rozpadnięcie się OPEC może spowodować gwałtowny spadek cen i bezterminowe odsunięcie rozwijania eksploatacji złóż ropy poza obszarem Środkowego Wschodu i wprowadzania alternatywnych źródeł energii. Co się tyczy bowiem tych ostatnich, to uważano, iż produkcja ropy z łupków bitumicznych może się opłacać przy cenie 4—7 dolarów za baryłkę, a z kanadyjskich piasków bitumicznych nawet tylko przy 4 dolarach. Produkcja zaś metanolu z węgla opłacałaby się przy cenie ropy w wysokości 10—12 dolarów za baryłkę (choć przy wykorzystaniu ciepła reaktorów atomowych koszty te mogłyby spaść o połowę)<sup>31</sup>.

W ogóle na Zachodzie podnosi się fakt, że już raz wystąpił kryzys energetyczny, który skończył się po odpowiednich ruchach cen. Chodzi tu o sytuację w USA, gdzie w XIX w., podobnie jak w Europie, używano do oświetlania tranu wielorybiego i spermacetu otrzymywanego z tłuszczów kaszalotów. Do

<sup>28</sup> Por. „The Petroleum Economist”, luty 1975.

<sup>29</sup> Por. „The Economist” z 4 grudnia 1974 r.

<sup>30</sup> Ostatecznie IEA w grudniu 1975 r. zaproponowała 18 krajom członkowskim cenę 7 dolarów za baryłkę.

<sup>31</sup> Por. „The Economist” z 1 marca 1975 r.

czasów wojny domowej cena tego pierwszego wzrosła z 23 centów w 1832 r. do 1,45 dolara za galon w 1865 r., tego drugiego zaś z 43 centów w 1823 r. do 2,55 dolara w 1866 r. Wtedy zaczęło się opłacać produkowanie z węgla gazu i używanie go do oświetlania. W 1868 r. zaczęła się również opłacać rafinacja ropy i oświetlanie naftą (ropę znaleziono 9 lat wcześniej w Pensylwanii). Mimo wielokrotnego wzrostu produkcji wymienionych tłuszczów wielorybich, „monopol” ich został ostatecznie złamany w 1867 r. i nigdy już nie odzyskały one swego rynku, mimo że w 1896 r. spermacet kosztował 40 centów za galon, co było najniższą jego ceną w historii, ale nikomu nie był on już potrzebny<sup>32</sup>.

Czy historia się powtórzy? Nie wiadomo.

Wiadomo natomiast, że nakłady inwestycyjne na tradycyjne źródła energii, w tym i ropę oczywiście, oraz na jej alternatywne źródła muszą poważnie wzrosnąć. Szacunki w tej dziedzinie są różne, ale wszystkie przewidują znaczny wzrost nakładów. Tak np. w USA ocenia się, że w latach 1970—2000 nakłady na energetykę (liczone w cenach z 1970 r.) powinny wynieść 1,75 biliona dolarów, z czego na ropę naftową i gaz ziemny — 750 miliardów, rurociągi — 150 miliardów, węgiel i jego transport — 70 miliardów, „paliwo nuklearne” — 30 miliardów oraz na elektrownie i linie przesyłowe — 750 miliardów dolarów<sup>33</sup>. Na obszarze OECD inwestycje jedynie na rozwój alternatywnych źródeł energii mają wynieść do 1985 r. 500 miliardów dolarów<sup>34</sup>. Nawet przy popycie na ropę wzrastającym tylko o 2—3% rocznie nakłady inwestycyjne, głównie na poszukiwania i eksploatację nowych złóż, mają wynieść w świecie niesocjalistycznym do 1985 r. 700 miliardów dolarów, co oznaczałoby prawie czterokrotny wzrost w stosunku do przeciętnej z lat 1966—1970<sup>35</sup>.

W każdym więc razie jedno jest pewne — nakłady muszą wzrastać, jeśli ma wzrastać konsumpcja energii, która powiększa się na ogół w tempie zbliżonym do ogólnego tempa rozwoju gospodarczego. Nie ulega zatem wątpliwości, że zmobilizowanie fun-

<sup>32</sup> Por. „Wall Street Journal” z 30 listopada 1973 r.

<sup>33</sup> Por. *A Time to Choose, America's Energy Future, Energy Policy Project of the Ford Foundation*, Washington 1974, s. 470.

<sup>34</sup> Por. „The Times” z 17 lutego 1975 r.

<sup>35</sup> Por. „Journal de Genève” z 25 kwietnia 1975 r.



duszków na inwestycje w energetyce stanowi poważny problem, będący źródłem problemu cen paliw.

Prowadzona latami przez korporacje naftowe świata kapitalistycznego wysoce krótkowzroczna polityka eksploatacji złóż ropy naftowej i gazu ziemnego doprowadziła do niebezpiecznych wynaturzeń w strukturze produkcji w sensie zarówno rzeczowym, jak i geograficznym. Preferowano wręcz bezmyślnie konsumpcję obu tych nośników kosztem przede wszystkim węgla, a ponadto w ogóle marnotrawstwo w konsumpcji energii doszło do niebywałych rozmiarów. Niskie światowe ceny ropy odegrały tu swoją negatywną historyczną rolę. Gdyby bowiem przeliczyć cenę baryłki oklahomskiej ropy w USA w 1920 r., to wynosiłaby ona ponad 20 dzisiejszych dolarów. Całymi latami, tj. głównie w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, ceny ropy naftowej miały nawet trend zniżkowy, a obecnie, po prawie sześciokrotnym ich wzroście w porównaniu ze stanem z 1970 r., jest ona i tak relatywnie dwa razy tańsza od owej oklahomskiej.

Dopiero teraz próbuje się gwałtownie odrabiać opóźnienia i prostować zwichnięcia. Tylko że towarzyszy temu już nerwowość i bezkonceptyjność. Co prawda mówi się, iż tylko w 1974 r. odkryto nowe złoża ropy o zasobności 12 miliardów ton<sup>36</sup>, ale wszystko to robi się teraz w pośpiechu i nie wiadomo, jakie będą tego ostateczne skutki<sup>37</sup>.

USA np. ma tzw. Program Niezależności (Project Independence), który w pierwszej wersji zakładał pełne uniezależnienie się tego kraju od importu paliw już w 1985 r. Stopniowo optymizm jednak opada, a program ten zaczyna się nawet określać złośliwie mianem „Program Niemożliwości”... W obecnej jego wersji mówi się, iż import ropy naftowej do USA w 1985 r. nie powinien przekraczać 25% krajowego popytu, wobec prawie 40% w 1974 r., ale jednocześnie wzrost konsumpcji energii zakłada się na 2% rocznie, choć wielu twierdzi, że nie może on być mniejszy niż 3,5%<sup>38</sup>. W połowie 1976 r. import ropy przekroczył na-

<sup>36</sup> Por. tamże.

<sup>37</sup> Inne źródło podaje, że od końca 1973 r. znaleziono na pewno nowe złoża o zasobności około 5 miliardów ton (por. „International Herald Tribune” z 17–18 maja 1975 r.).

<sup>38</sup> Por. „The Petroleum Economist”, listopad 1974.

wet 50% krajowego zapotrzebowania na nią. Jak więc będzie w przyszłości — nie wiadomo.

Jeszcze w 1973 r. Komisja EWG przewidywała, że w 1985 r. USA będą importowały 900 milionów ton ropy naftowej, wobec 165 milionów ton w 1970 r., Europa Zachodnia odpowiednio — 1,2 miliarda ton, wobec 640 milionów ton, a Japonia — 600 milionów ton, wobec 210 milionów ton<sup>39</sup>. Dziś już wszystkie te dane należą do historii, a jeśli o nich mówimy, to tylko dlatego, że USA mają teraz zamiar importować tylko około 1/6 „przepowiedanej” im na ten rok ilości, choć nie wiadomo, czy to się im uda.

Kryzys „energetyczny”, czy też „naftowy”, dajmy już spokój temu, skąd się wziął i jak przebiegał, spowodował na pewno przewrót w dotychczasowych poglądach na tempo wzrostu podaży energii w przyszłości, jej kosztów i źródeł pochodzenia.

Ale produkcja ropy naftowej i gazu ziemnego będzie musiała z pewnością wzrastać jeszcze długo, choć trudno powiedzieć, do jakiego stopnia i przy jakich kosztach.

Pewne wydaje się też, że następuje „renesans węgla”, który jest najobficiej występującym w przyrodzie paliwem „klasycznym”. Jego rozpoznane zasoby oblicza się na 8 bilionów ton. Pod względem wartości opałowej przewyższają więc one ponad 50-krotnie znane zasoby ropy naftowej. Zresztą zasoby węgla są ostatnio oceniane nawet na ponad 15 bilionów ton, a i to nie jest prawdopodobnie jeszcze liczba ostateczna<sup>40</sup>. Gdyby tak było, to „królestwo” węgla wśród paliw „klasycznych” byłoby niezaprzeczone.

Nie ulega też wątpliwości, że elektrownie atomowe pracujące na uranie też odegrają ważną rolę, choć nie przepowiada im się trwałej „kariery”. Niemniej w krajach OECD 15% energii elektrycznej w 1985 r. ma pochodzić z elektrowni atomowych w porównaniu z 2% obecnie<sup>41</sup>. Na rok 2000 same tylko USA przewidują uzyskiwanie 50% energii elektrycznej z tego źródła, wobec 5% dzisiaj<sup>42</sup>.

<sup>39</sup> Por. „Journal de Genève” z 13 stycznia 1975 r.

<sup>40</sup> Por. „The Guardian” z 7 marca 1973 r. („Guardian Extra” — Fuel Paradise?).

<sup>41</sup> Por. „The Economist” z 10 maja 1975 r.

<sup>42</sup> Por. „Time” z 30 czerwca 1975 r.

A jak naprawdę będzie — znowu nie wiadomo. Koszty reaktorów rosną w szybkim tempie (od 1967 r. zdrożały one pięciokrotnie<sup>43</sup>). Skomplikowana jest też sprawa uranu, którego złoża mogą być wyczerpane w latach dziewięćdziesiątych<sup>44</sup>. Jakimś rozwiązaniem byłyby reaktory „szybko powielające”, ale wejść one do eksploatacji nie wcześniej niż za 10—15 lat, a ponadto są niebezpieczne dla środowiska ze względu na produkcję dużych ilości plutonu, z którym nie wiadomo co robić (w 2020 r. USA produkowałyby go aż 30 tysięcy ton).

Jedynym więc na razie rozsądnym wyjściem staje się oszczędzanie energii, rozwijanie produkcji i przeróbki (gazyfikacja) węgla i oczywiście dalsze poszukiwanie oraz eksploatawanie ropy naftowej i gazu ziemnego.

Przy dużych nakładach finansowych i szybkim postępie technicznym sytuację energetyczną można opanować i do końca bieżącego wieku na pewno nie powinna być ona hamulcem rozwoju świata.

Jednakże w krajach ubogich w paliwa klasyczne lub w krajach, które mają trudności finansowe i techniczne i w związku z tym, nawet gdy występują na ich terenie paliwa, mogą mieć kłopoty z ich eksploatacją własnymi siłami, sytuacja energetyczna może hamować rozwój gospodarczy.

Wydaje się bowiem, że era taniej energii minęła. Przynajmniej na jakiś czas. A może nawet na zawsze, jeśli nie uda się opanować „syntezy wodorowej”, która wraz z energią słoneczną jest nadzieją na przyszłość. Prowadzone od ponad 25 lat badania nad energią wodorową, głównie w ZSRR i USA, posuwają się ostatnio dość szybko naprzód, jednak „reaktory wodorowe” nie są spodziewane przed końcem stulecia<sup>45</sup>. Ale jeśli się kiedyś pojawią, to nie tylko będą bezpieczne dla środowiska ze względu na nieprodukowanie radioaktywnych odpadów, ale także będą miały nieograniczone „złoża surowca”, czyli wodoru (a raczej deuteru) w świecie, tzn. w wodzie, głównie oceanach. Warto dodać, że kilogram „paliwa deuterowego” dałby aż 10 miliardów razy więcej energii niż kilogram ropy naftowej<sup>46</sup>.

<sup>43</sup> Por. „The Guardian” z 7 marca 1973 r.

<sup>44</sup> Por. „The Economist” z 10 maja 1975 r.

<sup>45</sup> Chodzi tu o reaktory typu produkcyjnego.

<sup>46</sup> Por. „Fortune”, maj 1974.

Duże nadzieje wiąże się też z energią słoneczną, której źródło jest również nieograniczone, a ponadto nie ma ona żadnych ubocznych negatywnych skutków dla środowiska naturalnego. Przewiduje się, że w USA energia słoneczna może pokryć w 2000 r. już 70% potrzeb energetycznych, a w 2020 r. nawet 250%. Do 2000 r. trzeba by jednak w tym celu zainwestować 300 miliardów dolarów, a potem corocznie co najmniej 25 miliardów dolarów<sup>47</sup>.

Perspektywy zapewnienia w odpowiedniej podaży energii nie wyglądają więc „czarno”, ale koszty tej operacji będą ogromne.

Amerykańska korporacja Bechtel oblicza, że świat niesocjalistyczny potrzebuje wzrostu podaży energii o 5,50% rocznie, a USA co najmniej o 30% do 1985 r. Sprostanie temu zadaniu wymagałoby inwestycji w latach 1971—1985 w wysokości 2 bilionów dolarów, z czego ponad połowa przypadłaby na budowę elektrowni (w tym 500 miliardów na elektrownie atomowe, z czego 380 miliardów w USA i 120 miliardów w pozostałych krajach), 548 miliardów dolarów na poszukiwania i eksploatację ropy naftowej (z tego 248 miliardów w USA), 235 miliardów dolarów na poszukiwanie i eksploatację gazu ziemnego (z tego 110 miliardów w USA), 92 miliardy dolarów na poszukiwanie i eksploatację węgla (z tego 17 miliardów w USA) oraz 45 miliardów dolarów na „paliwo nuklearne” (z tego 25 miliardów w USA)<sup>48</sup>.

Jak nietrudno zauważyć, w omawianych wydatkach inwestycyjnych świata kapitalistycznego USA partycypowałyby niemal w połowie, co istniejące nierównomierności w dziedzinie konsumpcji energii mogłoby w przyszłości jeszcze pogłębić, choć początkowo tempo wzrostu konsumpcji energii w tym kraju miałoby być wolniejsze niż w innych krajach. Ale olbrzymie inwestycje w USA do roku 1985 zapewne „zaowocowałyby” w okresie późniejszym.

Wiele krajów rozwijających się, które nie mają bogatych złóż paliw, stoi zatem w obliczu olbrzymich trudności w rozwijaniu produkcji energii, a na jej import po prostu może im brakować środków. Już zresztą dzisiaj mówi się o ostrym kryzysie energetycznym w niektórych z tych krajów i to ze względu na brak

<sup>47</sup> Por. „The Economist” z 30 sierpnia 1975 r.

<sup>48</sup> Por. „The Economist” z 1 marca 1975 r.



nie ropy czy węgla a... drewna opałowego i nawozów naturalnych, także służących jako opał. Zanim więc energia wodorowa i słoneczna przejmą rolę spełnianą dotąd przez paliwa organiczne, te ostatnie mogą niejednemu krajowi przysporzyć wielu kłopotów rozwojowych.

Wzrost cen paliw był konieczny. Ale fakt, że 56% światowej produkcji ropy naftowej i 90% jej eksportu skoncentrowane jest w krajach OPEC ma też swoją wymowę. Doszło do tego, że USA wielokrotnie ostrzegały tę organizację, że użyją siły, gdyby jeszcze raz wprowadziła (a raczej niektórzy jej członkowie) embargo na eksport ropy. A co będzie, jeśli z takich czy innych powodów eksporterzy ropy naftowej uciekną się do zastosowania tej specyficznej broni?

W tak wysoce delikatnej sytuacji, jaka wytworzyła się na „froncie energetycznym”, wszystko zaczyna być możliwe. Na pewno jednak jeszcze jeden zamęt w handlu paliwami mógłby dosłownie „położyć” rozwój gospodarczy wielu krajów. Już dzisiaj zresztą wiele „nienaftowych” krajów rozwijających się stało nieomal w obliczu katastrofy ze względu na znaczne podrożenie importu paliw. Oblicza się, że kraje te muszą wydawać na import ropy co najmniej 8 miliardów dolarów więcej niż poprzednio, a deficyt ich sięga 35 miliardów dolarów<sup>49</sup>. Reakcja jest tu łańcuchowa. Cierpi na tym produkcja rolna, transport, produkcja przemysłowa i po prostu człowiek.

O ile więc nie ma podstaw do paniki, że źródła energii są już na wyczerpaniu, o tyle są podstawy do obaw, że „zakręt”, na jakim znalazła się energetyka w świecie, może pogłębić podane wyżej różnice w konsumpcji energii na jednego mieszkańca między poszczególnymi krajami, a tym samym utrudnić rozwój gospodarczy wielu państw. W tym sensie zaczynająca się niewątpliwie nowa „rewolucja energetyczna” dla wielu krajów może oznaczać niestety wolniejszy rozwój w okresie przejściowym, a dla jeszcze większej ich liczby — wręcz barierę rozwoju.

W świetle tego, co powiedzieliśmy wyżej, nasuwa się podstawowe pytanie — czy kryzys energetyczny jest mitem, czy rzeczywistością? Na razie przecież nie brakuje ani węgla, ani gazu

<sup>49</sup> Ostatnie szacunki dotyczące 1975 r. mówią nawet o 45 miliardach dolarów.

ziemnego, ani uranu, ani nawet ropy naftowej, która stała się jego bezpośrednią przyczyną.

Wiemy już, że zawrotna kariera ropy naftowej w ostatnich latach spowodowała nie tylko wzrost popytu na nią, ale i „zno-kautowała” przejściowo inne źródła energii, prowadząc jednocześnie do powstania specyficznego układu stosunków między jej eksporterami a importerami i pośrednictwem korporacji naftowych w tych stosunkach. Wiemy też, że energia, dzięki zresztą ropie naftowej, była tania, a to powodowało istotne problemy dla eksporterów ropy naftowej i korporacji naftowych, zaostrzając przy okazji konflikt między nimi. No i wreszcie nie bez znaczenia, jeśli nie o podstawowym znaczeniu, była wyjątkowo skomplikowana sytuacja polityczno-wojskowa na Bliskim Wschodzie i wmieszanie się w nią szeregu państw spoza tego obszaru.

W każdym razie cały problem ropy naftowej stał się „zapalny” nie tylko „z natury rzeczy” i czekał na odpowiednią iskrę... Wiemy, że iskra taka padła i że wznieciła „eksplozję” cen ropy naftowej. Ale czy słusznie wydarzenia te nazwano „kryzysem energetycznym”? I czy słusznie jest mówić nawet tylko o „kryzysie naftowym”?

Właściwie wszystko zależy od tego, co chce się rozumieć przez słowo „kryzys”. Jeśli miałyby ono oznaczać wyczerpanie się złóż surowców energetycznych, to z pewnością takie wyczerpanie nie nastąpiło i w najbliższych latach jeszcze nie nastąpi, ale w przyszłości wizja taka może stać się naprawdę realna. Należy jednak wierzyć, że zanim stanie się ona rzeczywistością, postęp naukowo-techniczny nie tylko odsunie ją na jeszcze odleglejszą przyszłość, ale może nawet doprowadzić do „ostatecznego rozwiązania” problemu energetycznego.

Jeśli zaś omawiane słowo miałyby oznaczać jakieś zakłócenia w mechanizmie rozwiązywania bieżących i przyszłych problemów energetycznych — to „kryzys”, obojętne „energetyczny” czy „naftowy”, jest faktem. Ponieważ przyszedł on nagle, spowodował szereg nietypowych perturbacji i zapoczątkował proces nietypowych rozwiązań, przeto optycznie przynajmniej miał cechy prawdziwego kryzysu.

Zresztą każde odchylenie od jakiegoś „normalnego” procesu można nazwać „kryzysowym”. Nawet jeśli okazałoby się ono

potem zbawienne w skutkach... Inaczej mówiąc, każdy skrajny pogląd w kwestiach energetycznych będzie miał posmak mitu, a każda wyważona, mniej skrajna opinia — cechy prawdopodobieństwa. Mówiąc jeszcze dobitniej — nie jest ani tak źle, jak mówią pesymiści, ani tak dobrze, jak mówią optymiści.

Prawda, jak zazwyczaj, leży gdzieś pośrodku. Tylko że to jeszcze nie wszystko. Trudno bowiem powiedzieć, jak będzie naprawdę za 20—25 lat, zwłaszcza w dziedzinie energetyki.

Oczywiście można i należy stawiać różne horoskopy na przyszłość, ale byłoby rzeczą nierozsądną, zbytnio takim horoskopom ufać. Przy tym horoskopy nigdy nie są identyczne. Jednakże na okresy krótsze, tj. 10—15-letnie, horoskopy trzeba stawiać nawet koniecznie i choć one także mogą się nie sprawdzić, to jednak prawdopodobieństwo takiego lub innego wariantu jest tu znacznie większe niż w przypadku okresów bardziej oddalonych.

Zapoczątkowany „eksplozją” cen ropy naftowej proces dostosowywania się relacji między popytem na energię a jej podażą może się oczywiście potoczyć różnie. Zarówno mogą się sprawdzić najbardziej alarmistyczne i pesymistyczne przepowiednie, jak i wszystkie obawy mogą okazać się płonne. Różne „eksplozje” i „implozje” nie są oczywiście wykluczone.

Cokolwiek by się jednak stało, to w najbliższych 10—15 latach „bohaterką” na froncie energetycznym pozostanie z pewnością nadal ropa naftowa. W okresie tym jej pozycja nie będzie zagrożona, nawet jeśli jej udział w produkcji „energii pierwotnej” pozostał bez zmian lub nieznacznie spadł.

Skoro tak, to i druga sprawa nie budzi wątpliwości, a mianowicie wyjątkowa „wrażliwość” ropy naftowej na różnego rodzaju wydarzenia w świecie, przy czym nie tylko ekonomiczne. Możliwe nawet, że w powiedzeniu, iż „ropa rządzi światem” nie będzie cienia przesady...

Ale okres najbliższych 10—15 lat nie jest czymś oderwanym od dnia dzisiejszego. Zbyt krótki jest to dystans. Stąd warto raz jeszcze podsumować, co zdarzyło się od momentu „eksplozji” cen ropy naftowej, tj. od października 1973 r., do początkowych miesięcy 1976 r.

Otóż nie ulega wątpliwości, że w ciągu tych 2,5 roku „kryzys energetyczny”, czy też „naftowy”, doprowadził do:

— utrzymania się, a nawet nominalnego wzrostu prawie sześćkrotnie podniesionych cen ropy naftowej;

— skonsolidowania się krajów OPEC i uzyskania przez nie poparcia innych krajów rozwijających się;

— „przełknięcia” przez rozwinięte kraje kapitalistyczne nowych cen ropy naftowej i „nieprzełknięcia” ich przez nienaftowe kraje rozwijające się;

— stagnacji, a nawet spadku konsumpcji paliw płynnych w świecie niesocjalistycznym (choć w 1976 r. sytuacja już uległa zmianie);

— pojawienia się dużych nadwyżek wolnych mocy produkcyjnych w przemyśle naftowym w krajach OPEC (w 1976 r. zaczęły one jednak zniknąć).

O pierwszych dwóch problemach wspominaliśmy już poprzednio, podobnie jak o przedostatnim. Warto więc jeszcze poświęcić nieco uwagi pozostałym dwóm zagadnieniom.

Co się tyczy „przełknięcia” nowych cen ropy naftowej przez rozwinięte kraje kapitalistyczne, to sprawa ma o tyle pierwszoplanowe znaczenie, że perspektywa dużych deficytów w bilansie handlowym tych krajów, związana z nowymi cenami ropy, i niepewność co do sposobu sfinansowania tych deficytów były bodajże główną przyczyną alarmu „kryzysowego”. Deficyty te były w 1974 r. faktem i stąd sam „kryzys” też wydawał się faktem.

Nie warto nawet przytaczać różnych przepowiedni na ten temat, ale należy zaznaczyć, że istotnie łączny deficyt w bilansie handlowym rozwiniętych krajów kapitalistycznych wyniósł w 1974 r. 48 miliardów dolarów<sup>50</sup> wobec 2,7 miliarda dolarów w 1973 r. Deficyt ten spowodowany został niemal wyłącznie „eksplozją” cen ropy naftowej. W tym samym czasie deficyt nienaftowych krajów rozwijających się wzrósł z tego samego powodu o 7—8 miliardów dolarów.

Najdziwniejsze jednak w całej sprawie było to, że w krajach rozwiniętych deficyty te pokryto niezwykle łatwo, a rezerwy dewizowe niektórych krajów „deficytowych” nawet wzrosły. Na przykład RFN „przełknęła” nowe ceny ropy zupełnie bez „zakrzuszenia się”, osiągając nawet ogromną nadwyżkę w bilansie handlowym w wysokości 22 miliardów dolarów.

<sup>50</sup> Por. *International Trade 1974/75*, GATT, Genève 1975, aneks, tablica F.



Jednakże inne kraje należące do tej grupy miały sytuację mniej pomyślną. USA, które „pod nieobecność eksplozji” osiągnęłyby w 1974 r. dodatni bilans handlowy, miały deficyt w wysokości 5,9 miliarda dolarów<sup>51</sup>. Japonia „popadła w deficyt” w wysokości 6,6 miliarda dolarów<sup>52</sup>, Francja miała 6 miliardów dolarów deficytu (wobec —0,7 miliarda dolarów w 1973 r.), Włochy — 8 miliardów, a Wielka Brytania — 8,1 miliarda dolarów. Ale w 1975 r. sytuacja uległa radykalnej zmianie. W pierwszym półroczu tego roku USA zarejestrowały już nadwyżkę w swym bilansie handlowym (na bazie bilansu płatniczego) w wysokości 6,8 miliarda dolarów, Francja w wysokości 1,3 miliarda dolarów, Japonia w wysokości 1,9 miliarda dolarów, a RFN utrzymała swoją w wysokości 10,5 miliarda dolarów<sup>53</sup>. Jednocześnie Włochy i Wielka Brytania zmniejszyły swoje deficyty odpowiednio do 0,5 i 3,7 miliarda dolarów.

Można więc obrazowo powiedzieć, że omawiana grupa krajów „przełknęła” nowe ceny ropy i choć niektóre z nich mają nadal kłopoty w tej dziedzinie, to jednak kłopoty te nie są już tak wielkie jak w 1974 r. Pomogła im w tym co prawda recesja gospodarcza i łagodna zima, ale fakt pozostaje faktem.

Cała sprawa zresztą dziś już nie wydaje się tak dramatyczna jak na początku 1974 r., kiedy nie bardzo umiano sobie wyobrazić sfinansowania tak wielkich deficytów i obawiano się, że wzrost wpływów krajów OPEC o 80 miliardów dolarów, przy ograniczonych możliwościach importowych tych krajów i trudnościach z „recykлизacją” petrodolarów — może wywoływać coś zbliżonego do efektu deflacyjnego w handlu światowym.

Sfinansowanie importu droższej ropy stanowiło dla rozwiniętych krajów kapitalistycznych dodatkowe obciążenie w wysokości jedynie 2% dochodu narodowego brutto, a dla nienaftowych krajów rozwijających się w wysokości 3%<sup>54</sup>. W normal-

<sup>51</sup> Wobec nadwyżki w wysokości 471 miliardów dolarów w 1973 r.

<sup>52</sup> Co prawda w 1973 r. Japonia też miała już deficyt w wysokości 1,4 miliarda dolarów, co należy przypisać podrożeniu już wtedy importu ropy naftowej o 1,8 miliarda dolarów. Jednakże w 1974 r. „rachunek naftowy” kosztował Japonię dalsze 8,8 miliarda dolarów więcej niż w 1973 r. (por. *International Trade...*, jw., s. 105).

<sup>53</sup> Por. *International Trade...*, jw., s. 14.

<sup>54</sup> Por. H. B. Chenery, *Restructuring the World Economy*, „Foreign Affairs”, styczeń 1975.

nych warunkach rozwojowych obie grupy krajów mogłyby „poświęcić” jedynie 6-miesięczny przyrost produkcji na opłacenie droższego importu ropy, a potem już dalej rozwijać się tak, jak gdyby nic się nie stało. Ale w warunkach recesji i presji inflacyjnej, a zwłaszcza w sytuacji nienaftowych krajów rozwijających się, ich „poświęcenie” nabrało zgoła innych wymiarów.

Niemniej jedna z grup krajów sprawę „przełknęła”. Druga zaś popadła w jeszcze większe trudności, pogłębiając swój deficyt. Jednakże zarówno „przełknięcie”, jak i „nieprzełknięcie” miało miejsce w warunkach szczególnych, tj. wywołanych głównie recesją, i nie wiadomo, jak wyglądałaby cała sprawa w normalnej sytuacji, kiedy zamiast spadku konsumpcji produktów naftowych następowałby jej wzrost.

Spadek zaś omawianej konsumpcji doprowadził do pojawienia się drugiego z wymienionych wyżej problemów, a mianowicie do powstania wolnych mocy produkcyjnych w przemyśle naftowym krajów OPEC, które oceniano nawet na 30% mocy zainstalowanej<sup>55</sup> (czyli wolne moce oznaczają w przybliżeniu 14 milionów baryłek dziennie). Wolne moce mogą zaś wywoływać nacisk na spadek cen i dezintegrację OPEC.

Tak mniej więcej wygląda sytuacja w niecałe 2,5 roku po „eksplozji”. Ale co będzie w najbliższych 10—15 latach?

Może być oczywiście różnie, ale pewne fakty są nieubłagane, a są to fakty następujące:

— żaden z krajów importujących ropę naftową nie stworzył jakiegś prawdziwie spójnej „polityki energetycznej”, która by go uniezależniła od importu paliw płynnych, albo przynajmniej zależność tę poważnie zmniejszyła<sup>56</sup>;

— okres od odkrycia ropy naftowej do rozpoczęcia jej eksploatacji wydłuża się ze względu na sięganie do złóż coraz trudniej dostępnych (tereny poza kołem podbiegunowym, dno morskie);

— żadne z alternatywnych źródeł energii nie odegra większej roli przed 1985 r.

<sup>55</sup> Por. Ch. Tugendhat, *Political Approach to the World Oil Problem*, „Harvard Business Review”, styczeń—luty 1976.

<sup>56</sup> Fakt, że w latach 1974—1975 konsumpcja ropy naftowej w świecie niesocjalistycznym spadła, nie jest zasługą żadnej polityki, a po prostu recesji i łagodnej zimy, natomiast rychłe uniezależnienie się Wielkiej Brytanii i Norwegii od importu ropy należy przypisać naturze, która im ją dała na Morzu Północnym.

W związku z powyższym, najbliższe 10-lecie może (choć oczywiście nie musi) obfitować w nowe napięcia na rynku ropy naftowej. Dotychczasowa nadwyżka wolnych mocy produkcyjnych w przemyśle naftowym krajów OPEC zaczęła w drugiej połowie 1975 r. znikać, a na jej miejscu może się wkrótce znowu pojawić nadwyżka popytu nad podażą.

Największą niewiadomą jest oczywiście tempo przyrostu konsumpcji energii w najbliższych latach, które z kolei zależy od tempa rozwoju gospodarczego świata w ogóle. Na razie na najbliższe 15 lat przewiduje się spadek tego tempa o 1,5 punktu. A jeśli tempo to nie spadnie?

Warto przy tej okazji wspomnieć, że wahnięcie się tego tempa w górę tylko o 0,5 punktu równać się będzie w 1985 r. (w świecie niesocjalistycznym) dodatkowym 5 milionom baryłek ropy naftowej dziennie, tj. 250 milionom ton w ciągu roku<sup>57</sup>. Gdyby więc nie udało się zmniejszyć tempa konsumpcji energii o założone 1,5 punktu, to w 1985 r. potrzeba by było 750 milionów ton ropy naftowej więcej, niż to się obecnie przewiduje.

W każdym razie nie wolno wykluczać ewentualności, że popyt na energię będzie wzrastał szybciej, niż się zakłada, a to prowadziłyby automatycznie do wspomnianych napięć na rynku paliw płynnych. Nie jest nawet najważniejsze, czy w końcu powyższe różnice w tempie wzrostu konsumpcji energii zmateriaлизują się, czy nie. Tak czy inaczej, w najbliższych latach eksport ropy naftowej z krajów OPEC będzie wzrastał. Problem polega tylko na tym — o ile?

Przy wroście wyższym od założonego może znowu powstać sytuacja „eksplozyjna”. Wprawdzie do 1980 r. można ją będzie „jako tako” opanować, ale między 1980 r. a 1985 r. mogą powstać przesłanki do narastania nowego kryzysu naftowego i nawet tym razem poważniejszego niż w 1973 r. Dlaczego właśnie w tym okresie?

Otóż wydaje się, że jeśli w latach 1980—1985 nie zostaną rozwiązane różne problemy mające widoczny wpływ na kształtowanie się długookresowej sytuacji energetycznej, to może się ponownie wytworzyć atmosfera zdenerwowania, a nawet paniki

<sup>57</sup> Por. F. R. Parra, *The Pricing of Oil in the International Markets*, Paper Given by 8 October 1975, Calgary 1975, s. 8.

w związku z wyczerpywaniem się złóż ropy naftowej itp. Tym bardziej, iż wydaje się, że rok 1990 może być jakimś „progiem”, którego „starymi metodami” nie będzie można przekroczyć, zwłaszcza jeśli nie odkryje się przedtem jakichś nowych i to wielkich złóż ropy naftowej. Wizja absolutnego braku ropy naftowej może się naprawdę urzeczywistnić.

Oprócz nowych złóż ropy naftowej, niebezpieczeństwo mogłyby oczywiście odsunąć „alternatywne źródła” energii, zwłaszcza te, które rozwiązywałyby problem paliw płynnych. Jeśli jednak nic się nie zmieni, to nowy kryzys naftowy jest więcej niż pewny i pierwsze jego oznaki mogą już zacząć występować właśnie w latach 1980—1985.

Kryzys ten może przybrać szczególnie groźny obrót ze względu na zjawisko, które nie wystąpiło w 1973 r. Chodzi mianowicie o zwięźenie się kręgu eksporterów ropy naftowej. Spośród bowiem obecnych eksporterów jedni mogą nie móc, a drudzy mogą nie chcieć jej eksportować, jeśli nadal będzie „straszyła” wizja jej niezastępowalności (choć i bez tego teza ta może być prawdziwa).

Niewątpliwie prawdą jest, że jeszcze w 1965 r. co najmniej 11 niesocjalistycznych krajów chciało i mogło zwiększać produkcję i eksport ropy naftowej. Wśród nich zwłaszcza Arabia Saudyjska oraz Iran i to o duże ilości (każdy o ponad 200 milionów ton więcej od proponowanego mu przez korporacje naftowe poziomu).

Obecnie już tylko dwa kraje, tj. Arabia Saudyjska i Irak, chcą i mogą nadal zwiększać na dużą skalę produkcję i eksport ropy naftowej, przy czym Arabia Saudyjska gotowa jest nawet osiągnąć produkcję w wysokości 20—25 milionów baryłek dziennie (1000—1250 milionów ton rocznie), a Irak — 5—10 milionów baryłek (250—500 milionów ton rocznie). Pewne chęci i możliwości wykazują też jeszcze Zjednoczone Emiraty Arabskie, ale chodzi tu o wzrost z 50 do 100 milionów ton rocznie<sup>58</sup>.

Inne kraje niesocjalistyczne albo nie chcą, albo nie mogą zwiększać swego eksportu. Libia, Kuwejt i Wenezuela weszły do klubu „mogę, ale nie chcę”. Pozostałe kraje, z Iranem włącznie, nawet już nie bardzo mogą, gdyż grozi im wyczerpanie się

<sup>58</sup> Por. tamże.



rezerw ropy jeszcze przed końcem stulecia albo, co najmniej, koszty jej wydobycia mogą się okazać niekonkurencyjne.

Nie należy też zapominać, że w świecie niesocjalistycznym od 1965 r., tj. od odkrycia ropy naftowej na Alasce i na Morzu Północnym, nie znaleziono nowych wielkich złóż. A uruchomienie produkcji z takich złóż trwa ponad 10 lat. Tymczasem rok 1975 się skończył i nowych wielkich złóż nadal nie ma...

Prawda, że Wielka Brytania już w 1980 r. może stać się samowystarczalna w dziedzinie produkcji paliw płynnych, a potem może być nawet ich eksporterem. Podobnie Norwegia, choć ta chce ograniczyć wydobycie ropy do 1,8 miliona baryłek dziennie (około 75 milionów ton rocznie), ale to niewiele pomoże. Łącznie bowiem Morze Północne i Alaska mogą dać w 1980 r. tylko 6 milionów baryłek dziennie (300 milionów ton rocznie). Dalsze 100—150 milionów ton ropy w 1980 r. może popłynąć w Meksyku, Brazylii, Azji Południowo-Wschodniej i Afryce<sup>59</sup>. Ale to, jak dotąd, wszystko. Stąd też nadwyżka wolnych mocy w przemyśle naftowym w krajach OPEC może się do 1980 r. nawet utrzymać.

Ale potem sprawa zacznie się komplikować. Produkcja ropy naftowej w Kanadzie (eksport ma być tu zaprzestany już w 1981 r.), Algierii, USA (z wyjątkiem Alaski), Iranie, Wenezueli, Nigerii i Indonezji — może zacząć spadać. Dlatego też „jedynym ratunkiem” może się okazać tylko Środkowy Wschód, a konkretnie Arabia Saudyjska, w mniejszym stopniu Irak i jeszcze w mniejszym stopniu ZEA. W krajach tych produkcja będzie musiała wzrastać. Ale jakie będzie tempo tego wzrostu, tego nikt nie wie.

OPEC przyszłości nie będzie już tym samym co dzisiaj... Tak naprawdę na „placu boju” może pozostać tylko Arabia Saudyjska i Irak, przy czym ten ostatni jest mniej pewnym wielkim producentem i dostawcą. Fakt, że tylko dwa kraje mogą być przysłowiowym „języczkiem u wagi”, już sam w sobie jest faktem brzemienym w nieobliczalne skutki. Jakikolwiek nowy kryzys naftowy przybrałby bowiem wysoce złożony kształt polityczny.

<sup>59</sup> Nie uwzględniamy tu krajów socjalistycznych.

Już dziś Arabia Saudyjska sama jedna jest w stanie dyktować ceny ropy naftowej w świecie, a cena ta coraz bardziej odrywa się od kryteriów ekonomicznych, zwłaszcza krótkookresowych, i wchodzi w „królestwo wielkiej polityki”. Tym samym naciski na Arabię Saudyjską, już dzisiaj głównie charakteru politycznego (mówi się jej, żeby „nie rujnowała wolnego świata” i „nie torowała drogi komunizmowi”), mogą się i zwiokrotnić, i zaostrzyć. A skoro sprawa jest polityczna, to i rozwiązania mogą być „polityczne”, co nie oznacza, że dyplomatyczne...

Kończąc, można powiedzieć, że obecny „kryzys energetyczny” jest, przy wszystkich wyżej sformułowanych zastrzeżeniach, przede wszystkim kryzysem naftowym. Tak naprawdę, to jest on raczej zapowiedzią prawdziwego kryzysu naftowego w najbliższej przyszłości, jeśli do tego czasu nie zostanie dokonany widoczny przełom, który przynajmniej przekonywająco wskaże drogi „ostatecznego rozwiązania” problemu energetycznego. Obecny kryzys naftowy jest raczej jeszcze mitem, ale jutro może już być rzeczywistością...

Surowcom energetycznym poświęciliśmy znacznie więcej miejsca w naszym wykładzie niż pozostałym surowcom mineralnym. Paliwa mineralne stanowią bowiem problem szczególny. Jak już wspominaliśmy, w ich przypadku nie występuje możliwość „recyklicacji”, czyli powtórnego wykorzystania, tak jak w przypadku większości innych surowców mineralnych. Ponadto paliwa zajmują niewątpliwie kluczową pozycję wśród surowców „nieodnawialnych”. Wokół nich też koncentruje się obecnie najwięcej uwagi i pasji.

Energia, jak to już również mówiliśmy, znalazła się na jakimś „historycznym zakręcie”, który albo doprowadzi do opanowania przez człowieka w ciągu najbliższego półwiecza nowych, niewyczerpalnych jej źródeł mogących zagwarantować ludzkości dalszy rozwój — albo... Albo po prostu ludzkość stanie w obliczu niemożności dalszego rozwoju. Należy mieć oczywiście nadzieję, że do tego nie dojdzie...

## Wykład piąty

### „Naturalnych barier” część trzecia

Na podobnym „zakręcie” jak paliwa, choć może nieco łagodniejszym, znalazły się ostatnio także inne surowce oraz żywność. Zarówno złożom surowców mineralnych, jak i nadającym się pod uprawę glebom niewątpliwie grozi w przyszłości wyczerpanie, a zanim to nastąpi, koszty ich eksploatacji mogą niewątpliwie wzrastać.

Podobnie jak to było z paliwami, tak i pod tym względem są na świecie kraje przez naturę „uprzywilejowane” i „poszkodowane”. Jedne są bogate w surowce, urodzajne gleby i sprzyjający klimat, inne mają tylko niektóre z tych „aktywów”, a jeszcze inne prawie wcale ich nie mają. Znajduje to odbicie w handlu światowym i sprawia zarazem, że wymiana surowców i żywności bodajże od zarania nowoczesnych stosunków międzynarodowych stanowi problem wysoce drażliwy, który ciągle nie jest rozwiązany.

Kiedyś zapewne przynajmniej surowce mineralne będą „produkowane fabrycznie”, przez dokonywanie zmian w układach molekularnych, i możliwe, iż wiele dzisiejszych problemów surowcowych będzie w przyszłości wyglądać inaczej niż dzisiaj (jeśli oczywiście człowiek opanuje nowe i potężniejsze od obecnych źródła energii, które na taką „produkcję” pozwolą).

Póki co jednak, problem istnieje i jest dość złożony. Raz bowiem przesładuje wszystkich myśl o braku surowców w ogóle, lub o trudnościach w dostępie do ich źródeł, a innym razem powstaje wrażenie ich nadmiaru, co dezorganizuje handel międzynarodowy i wywołuje niezadowolenie u eksporterów, głównie z krajów rozwijających się.

Jak jest jednak naprawdę, zwłaszcza z surowcami mineralnymi?

Czy jest aż tak źle, jak to przepowiada I Raport Rzymski, o którym wspominaliśmy w pierwszym wykładzie?

Otóż nie ulega wątpliwości, że surowce stanowią już pewien problem, o czym świadczy przykład ropy naftowej. Okres beztroskiej i często bezmyślnej gospodarki nimi mija bezpowrotnie.

Rola surowców w produkcji, podobnie jak energii, jest znana. Ale podobnie jak w przypadku energii udział „wsadu surowcowego” w produkcie społecznym brutto jest stosunkowo niewielki. W USA np. w 1968 r. surowce mineralne stanowiły tylko 2% produktu społecznego brutto, w skali światowej zaś — 2,7%<sup>1</sup>. Łącznie zaś z „pierwotną energią”, czyli paliwami, odpowiednie udziały kształtowały się na poziomie 4,3 i 4,6%<sup>2</sup>.

Na ten względnie mały „wsad surowcowy” wpływają niskie ceny zarówno tzw. surowców pierwotnych, jak i surowców wtórnych (jako że ceny tych ostatnich muszą być sprowadzone do cen „surowców pierwotnych”, aby mogły wytrzymać z nimi konkurencję). Warto przy tym podkreślić, że inaczej niż w przypadku paliw, ta wtórna konsumpcja surowców mineralnych jest bardzo istotnym elementem w całej sytuacji surowcowej. Na przykład około 20% światowej produkcji aluminium, 35% stali i 40% miedzi opiera się na złomie, czyli na surowcach wtórnych<sup>3</sup>.

Niestety nie dysponujemy najnowszymi pełnymi danymi na temat wielkości i wartości produkcji surowców mineralnych, ale warto podać dane dotyczące 1970 r. i niektóre z lat późniejszych.

Otóż w 1970 r. światowe wydobycie wszystkich surowców mineralnych wyniosło 20 125 milionów ton (w tym paliw 6150 milionów ton), o wartości prawie 166 miliardów dolarów, z czego na paliwa przypadło blisko 79 miliardów dolarów, tj. mniej więcej połowa<sup>4</sup>.

Pomijając paliwa, w wydobyciu tym wagowo dominowały surowce niemetaliczne — prawie 12,7 miliarda ton, co stanowi ponad 60% ogólnej produkcji surowców mineralnych łącznie z paliwami, a bez paliw ponad 80%. W grupie tej ponad 95% wy-

<sup>1</sup> Por. P. Connelly, R. Perlman, *The Politics of Scarcity*, London 1975, s. 20.

<sup>2</sup> Por. tamże.

<sup>3</sup> Por. tamże, s. 9.

<sup>4</sup> Por. J. A. Jerszow, *Syrjo, toplivo, politika*, Moskwa 1975, s. 10.



dobycia przypadało na surowce budowlane, ale wartościowo nie stanowią one nawet 1/4 produkcji surowców mineralnych w świecie. Oprócz surowców budowlanych (głównie gliny, kamień budowlany, piasek, wapień) na uwagę zasługują tu jeszcze surowce do produkcji nawozów sztucznych, których wydobyto w 1970 r. 140 milionów ton, chociaż ich wartość wyniosła tylko 4,8 miliarda dolarów (dla porównania wartość wydobytych w omawianym roku kamieni szlachetnych wyniosła 11 miliardów dolarów).

Następną grupę stanowią surowce metaliczne, czyli rudy. Wydobyto ich ponad 515 milionów ton, o wartości ponad 39 miliardów dolarów (w statystykach zaliczane są tu także koncentraty metali nieżelaznych, co podwyższa „wagę” tej pozycji)<sup>5</sup>, a ponadto metali szlachetnych za około 3,5 miliarda dolarów.

W 1972 r. w grupie metali dominowało pod względem wartości żelazo (41 miliardów dolarów), a wartość metali nieżelaznych osiągnęła 19,5 miliarda dolarów, przy czym główną pozycję stanowiła miedź (7,4 miliarda dolarów), a aluminium — drugą (6,9 miliarda dolarów)<sup>6</sup>.

Ułożona według wartości produkcji „kombinowana” z danych za lata 1970 i 1972, kolejność poszczególnych surowców mineralnych byłaby następująca: 1) ropa naftowa, 2) surowce budowlane, 3) rudy, koncentraty i złom żelaza, 4) węgiel, 5) kamienie szlachetne, 6) gaz ziemny, 7) miedź, 8) aluminium, 9) metale szlachetne, 10) surowce do produkcji nawozów sztucznych, 11) cynk, 12) nikiel, 13) ołów.

Niedawny wzrost cen paliw mógł prawdopodobnie spowodować przesunięcie węgla przed żelazo, a gaz ziemny zbliżyć do niego, natomiast duży wzrost cen metali szlachetnych mógł je „awansować” przed miedź. Oczywiście umocniła się pierwsza pozycja ropy naftowej.

Powracając do spraw bardziej ogólnych, nie należy się sugerować niektórymi podstawowymi danymi mówiącymi o niewielkim wartościowo udziale produkcji surowców w produkcie społecznym brutto. Sytuacja zmienia się bowiem radykalnie, gdy surowce zaczyna się przetwarzać. Wówczas tzw. koszty materiałowe stanowią z reguły ponad połowę produkcji globalnej. Nie

<sup>5</sup> Por. tamże.

<sup>6</sup> Por. P. Connelly, R. Perlman, *The Politics...*, jw., s. 11.

potrzeba też powtarzać, że bez surowców i paliw w ogóle nie byłoby produkcji.

Wyżej wspomnieliśmy już, że ceny surowców są prawdopodobnie za niskie. Jednakże trzeba w związku z tym wyjaśnić, że jeszcze do niedawna nie przejmowano się perspektywą wyczerpania się surowców na świecie. Każdy natomiast wzrost wydajności pracy przy wydobywaniu surowców powodował relatywny, a często i bezwzględny spadek ich cen. Przeprowadzone w USA badania za okres 1880—1955 wykazały spadek udziału siły roboczej w wydobywaniu surowców z 56 do 14<sup>0/0</sup><sup>7</sup>. Od tego czasu nastąpił zapewne dalszy spadek. Musiało to mieć wpływ na ceny.

Warto też zaznaczyć, że poważnie rozwinęto produkcję surowców mineralnych w krajach rozwijających się, w których warunki geologiczne są często wyjątkowo korzystne, siła robocza tania, a wydajność pracy wysoką ze względu na mechanizację robót. Ponadto, do niedawna podatki od działalności obcych firm na terenie tych krajów były niskie (a dawniej nie było ich w ogóle) i tym samym ceny wielu surowców mineralnych musiały być również niskie. Stąd też gospodarka surowcami, podobnie jak do niedawna paliwami, nie należała w świecie do oszczędnych i zużycie surowców, jak również sposób ich eksploatacji — pozostawiały wiele do życzenia.

Powstaje jednak kwestia zasadnicza — czy światu grozi zahamowanie rozwoju ze względu na wyczerpywanie się surowców mineralnych?

Wszelkie prognozy na ten temat muszą przede wszystkim uwzględniać technologię wydobywania surowców. Od niej bowiem zależy, co będzie się w stanie wydobyć z wnętrza czy powierzchni ziemi lub z dna morskiego. Następny problem również dotyczy technologii, ale tym razem przetwarzania wydobywanego surowca. I wreszcie trzeci problem także związany jest z technologią, a mianowicie z technologią wtórnego zagospodarowywania surowców.

W dziedzinie technologii zrobiono wiele, ale bodajże jeszcze więcej pozostaje do zrobienia. Stąd nie można dać jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, czy brak surowców zahamuje roz-

<sup>7</sup> Por. tamże, s. 16.

wój gospodarki światowej. Bez postępu w technologii — na pewno tak (podobnie jak bez postępu w sięganiu do nowych źródeł energii).

Inny problem to nowe odkrycia geologiczne. W tej dziedzinie absolutnej pewności oczywiście nie ma, ale liczyć na takie odkrycia należy. Jak właściwie wyglądają nasze szanse w tej dziedzinie?

Otóż oceny dotyczące zawartości skorupy ziemskiej i dna morskiego różnią się dość zasadniczo. Na przykład I Raport Rzymski operował pewnymi danymi, które inni podważają.

I tak, na podstawie geologicznej analizy warstwy skorupy ziemskiej (także pod dnem morskim) tylko o grubości jednej mili (około 1,6 tysiąca metrów) wysnuto ogólne wnioski co do możliwości nowych odkryć geologicznych, jednak bez wskazania, gdzie konkretnie takie złoża można by odkryć i czy ich eksploatacja przy obecnej technice byłaby możliwa i opłacalna.

Otóż co się tyczy aluminium, to według omawianej prognozy powinno go być aż 10 milionów razy więcej, niż to sugeruje I Raport Rzymski, natomiast miedzi, żelaza, ołowiu, rtęci, niklu i cynku — 100 tysięcy razy, a cyny — milion razy więcej<sup>8</sup>, przy czym dotyczy to tylko „pierwszej” mili skorupy ziemskiej.

Surowce mineralne występują oczywiście w stanie bardziej lub mniej rozproszonym i ponadto nawet ich „zwarte” złoża różnią się poważnie co do stopnia zawartości „ostatecznego” surowca, np. metalu w rudzie. Zagadnienia tego dotyczy tzw. prawo Laskiego (pewnie Łaskiego ongiś), z którego wynika, że globalny tonaż rudy (nie metalu) wzrasta o 18% przy spadku stopnia zawartości metalu w rudzie o 0,1%<sup>9</sup>, a więc ilość rudy rośnie wręcz geometrycznie wraz z pogarszaniem się jej jakości. Nie wiadomo co prawda, czy wraz z rosnącą masą gorszej jakości rud wzrasta globalna masa metalu, ale nie jest wykluczone, że tak może być istotnie. Ponadto nie należy zapominać, że skorupa ziemską ma grubość od 8 do 80 kilometrów, a pod skorupą znajdują się też różne surowce w stanie ciekłym i lotnym.

Można by więc raczej przychylić się do optymistycznych poglądów, przy założeniu oczywiście, że człowiek opanuje nowe

<sup>8</sup> Por. tamże, s. 14.

<sup>9</sup> Por. tamże, s. 19.

technologie poszukiwań i eksploatacji surowców mineralnych. Sądząc z dotychczasowych doświadczeń jest to zupełnie możliwe.

Problem jednak mimo wszystko istnieje. Zanim bowiem nastąpią odpowiednie przełomy w technologii wydobywania surowców i ich przeróbki (zapewne kluczem do tego będzie tania energia), upłynie jeszcze sporo czasu. Tymczasem „klasyczna” eksploatacja i przeróbka surowców może podrożeć ze względu na wzrost cen energii i korzystanie z mniej wydajnych złóż.

A zapotrzebowanie na surowce mineralne rośnie. W 2000 r. potrzeby świata niesocjalistycznego w odniesieniu do poszczególnych materiałów i surowców wyniosą (w milionach ton): stal — ponad 1000 (wobec około 360 1969 r.), ruda żelaza — około 690 (wobec 240), miedź — około 15 (wobec 7,8), aluminium — około 37 (wobec 6,6), siarka — ponad 76 (wobec 23) i cynk — ponad 10 (wobec 1,9)<sup>10</sup>.

Czy będzie tak, czy inaczej (choć dawniej prognozy zawsze sprawdzały się „w górę”, tzn. przekraczano założenia) — jedno jest pewne, mianowicie to, że popyt na surowce mineralne będzie wzrastał i tym samym może wywoływać szereg napięć w światowym handlu surowcami, jeśli podaż nie nadąży za popytem, a napięcia te przeniosą się na rozwój licznych krajów.

Wiele krajów już dzisiaj, mając bogate i różnorodne złoża, nie może rozwijać swej gospodarki bez importu surowców, albo wręcz nie opłaca im się opieranie swego rozwoju wyłącznie na własnej bazie surowcowej.

Klasycznym przykładem są tu USA, które mają bogate złoża wielu surowców i przez wiele lat były netto ich eksporterem. Obecnie ich zależność od importu surowców rośnie (choć nadal eksportują wiele z nich). Jeszcze w 1950 r. kraj ten tylko 5% swego zapotrzebowania na rudę żelaza pokrywał importem, ale w 1970 r. już 30%. W przypadku rudy manganu wskaźniki te wynosiły odpowiednio 77 i 94%, w przypadku cynku — 37 i 60%, a boksytów — 71 i 86%<sup>11</sup>.

Na 2000 r. USA przewidują import (w cenach z 1970 r.) surowców niemetalicznych za 6 miliardów dolarów (zero w 1970 r.), metali za 36 miliardów dolarów (5 miliardów w 1970 r.). Import

<sup>10</sup> Por. J. A. Jerszow, *Syrjo...*, jw., s. 33.

<sup>11</sup> Por. tamże, s. 58.



aluminium wyniósłby przy tym 26 milionów ton, rudy żelaza — 103 milionów ton, miedzi — 1,8 miliona ton, soli potasowych — 7,4 miliona ton. Przewiduje się też przywóz wielu innych surowców również w dużych i rosnących ilościach<sup>12</sup>.

Brak miejsca nie pozwala na przedstawienie prognoz dotyczących zapotrzebowania na import innych krajów, ale łącznie w liczbach bezwzględnych przewyższa ono przewidywane potrzeby importowe USA. Nacisk popytu na surowce mineralne odegra więc prawdopodobnie jeszcze większą rolę w światowym handlu nimi niż obecnie.

Już dzisiaj poważna część produkowanych w krajach niesocjalistycznych surowców mineralnych trafia do handlu światowego. Tak np. w 1974 r. na prawie 560 milionów ton wydobytej tam rudy żelaza do eksportu trafiło aż niemal 360 milionów ton, czyli 64%, rudy manganu wydobyto 12,4 miliona ton, a eksportowano 9,6 miliona ton, czyli niemal 90%, miedzi rafinowanej odpowiednio — ponad 6,7 i 2,7 miliona ton, czyli 40%, aluminium — 10,8 i 2,7 miliona ton (udział eksportu byłby tu zapewne wyższy niż 25%, gdyby uwzględnić eksport boksytów), cynku — 4,3 i 0,9 miliona ton, czyli ponad 20%<sup>13</sup>.

Podobnie jak w przypadku paliw płynnych, których eksport jest w 90% domeną krajów rozwijających się, tak i w przypadku surowców mineralnych rola tych krajów jest duża. W eksporcie boksytów udział ich wynosił w 1970 r. 88%, cyny — ponad 77%, miedzi — prawie 55% i rudy żelaza — 47%<sup>14</sup>. Jednakże w chwili obecnej kraje rozwijające się nie są głównym producentem surowców mineralnych, choć mogą nim zostać w przyszłości, podobnie jak nie są głównym eksporterem niektórych z nich. Aktualnie są one netto eksporterem rud miedzi, żelaza, cyny, aluminium, cynku i ołowiu, a także surowców do produkcji nawozów sztucznych<sup>15</sup>.

Postępujący proces uprzemysławiania się tych krajów, jak również możliwość wystąpienia trudności finansowych i technicznych przy szybkim rozwijaniu ich własnej bazy omawianych surowców — mogą wpłynąć na powstanie trudności z podażą

<sup>12</sup> Por. tamże, s. 63.

<sup>13</sup> Por. tamże, s. 13 i 83.

<sup>14</sup> Por. tamże, s. 84 i 86.

<sup>15</sup> Por. dokument UNCTAD TD/BC.1/189, z 15 czerwca 1975 r., s. 9.

wielu surowców na rynku światowym. Depresja cen tych surowców, która miała miejsce od „boomu koreańskiego” do 1971 r., odwróciła się na krótko w latach 1972—1973 i obecnie (lata 1974—1975) znów powróciła. Ale czy trudności te wystąpią?

Wydaje się, że przy ożywieniu koniunktury w świecie kapitalistycznym popyt na wszelkiego rodzaju surowce wzrośnie. Elastyczność zaś podaży surowców jest mała, a niedoinwestowanie ich wydobycia ze względu na trwającą depresję może sytuację tylko pogorszyć. Zresztą trend długookresowy przemawia raczej za występowaniem zakłóceń w zaopatrzeniu surowcowym w ogóle.

Kraje biedniejsze, w dodatku ubogie w surowce mineralne, mogą mieć z tego powodu poważne trudności rozwojowe. W ogóle zaś wszystkie kraje mogą stanąć w obliczu konieczności zwiększenia wydatków na eksploatację i poszukiwanie surowców, jak również na ich przetwarzanie. W połączeniu z większymi kosztami energii — podrożenie „gospodarki materiałowej” może przez jakiś czas być nieuniknione.

Jeśli przyjąć taką hipotezę, choćby nawet na okres przejściowy, to surowce, podobnie jak paliwa, mogą stać się hamulcem rozwoju. Przy tym nie w sensie ich absolutnego braku, choć i to okresowo może wystąpić, a w sensie ich braku względnego, co w połączeniu z delikatną sytuacją, jaka może się wytworzyć w handlu światowym, zapewne wydatnie pogłębi i tak już duże trudności. Problemowi temu poświęćmy nieco uwagi, gdyż zajmuje on wiele miejsca w dyskusjach na temat rozwoju gospodarczego świata i handlu międzynarodowego.

Wspominaliśmy już wyżej, że przed II wojną światową w handlu międzynarodowym dominowały żywność, surowce i paliwa, na które przypadało w przybliżeniu 2/3 tegoż handlu. W 1970 r. sytuacja diametralnie się odwróciła i udział tych grup towarów spadł do około 35%. Jednakże w związku z „eksplozją” cen ropy naftowej i boomem surowcowym lat 1973—1974 wspomniany udział wzrósł w 1974 r., według wstępnych danych, do 44%<sup>16</sup>. Rola towarów „pierwotnych”, tzn. żywności, paliw i surowców, w handlu światowym wyraźnie zatem w ostatnich latach wzrosła.

<sup>16</sup> Por. *International Trade 1974/75*, GATT, Genève 1976, s. 2.

Nie ten fakt jest tu jednak najbardziej istotny. Bardziej istotne jest to, że wahania cen tych towarów, poza nielicznymi wyjątkami, były zawsze bardzo silne. Ponadto, ich eksporterzy zawsze byli przekonani o niekorzystnym stosunku tych cen do cen towarów przemysłowych. Wahania cen towarów „pierwotnych” w połączeniu z owym niekorzystnym *terms of trade* mają olbrzymi wpływ na to, co nazwalibyśmy naturalną barierą rozwoju gospodarczego świata. Inwestowanie bowiem w poszukiwania i eksploatację surowców, lub w uprawę ziemi i hodowlę, znajduje się pod przemożnym wpływem odpowiednich kalkulacji z tym związanych.

Wiadomo powszechnie, iż okres „dojrzewania” inwestycji w omawianych działach gospodarki jest długi, a ich kapitałochłonność wysoka. Niepewność co do rentowności takich inwestycji wywiera hamujący wpływ na podejmowanie odpowiednich decyzji. W krajach niesocjalistycznych, zwłaszcza rozwijających się, jest to problem nielada.

Co więcej, produkcja „towarów pierwotnych” jest wysoce nieelastyczna i wahania w popycie na nie transmitowane są tu w sposób opóźniony. W efekcie albo poszczególnych surowców przejściowo brakuje, co wpływa na gwałtowny, choć często krótkotrwały wzrost ich cen, albo też podaż ich daleko przewyższa popyt, co wpływa na gromadzenie się zapasów, które same przez się wywierają dodatkowy nacisk na i tak już spadkowy w takiej sytuacji trend cenowy. Nic więc dziwnego, że w takiej sytuacji podejmowanie właściwych decyzji inwestycyjnych jest wysoce utrudnione. Ile zaś kosztują gospodarke światową chybione decyzje w tej materii — nikt się nigdy dokładnie nie dowie...

Nie będzie zatem przesadą, jeśli się powie, że rynkiem „towarów pierwotnych” rządzi „prawo dżungli”. Jest to rynek tak specyficzny, że najlepiej czują się na nim wszelkiego rodzaju spekulanci, którzy dosłownie zrobili sobie z niego coś w rodzaju kasyna gry. Mimo daleko posuniętej monopolizacji handlu międzynarodowego, właśnie rynek „towarów pierwotnych” ciągle jeszcze zachowuje wszelkie cechy rynku „wolnej gry”, jak to bywało w XIX w. Różne giełdy towarowe podają codziennie wiele, najczęściej znacznie wahających się, notowań cen poszcze-

gólnych towarów i to nie tylko obowiązujących na dany dzień, ale i na kilka miesięcy naprzód.

Co więcej, nawet jeśli giełdy towarowe nie są głównym kanałem przepływu poszczególnych „towarów pierwotnych”, to jednak ich wpływ na kształtowanie się cen takich towarów „giełdowych” jest decydujący. Wpływ ten wywierany jest także na ceny towarów „niegiełdowych”, gdyż między poszczególnymi towarami istnieją określone związki cenowe.

W jednym z wykładów wspominaliśmy już o gwałtownych wahaniami cen zbóż, a w poprzednim o „eksplozji” cen ropy naftowej. W obu przypadkach ceny przesunęły się tylko w górę, szczególnie wyraźnie w przypadku ropy naftowej. Ale notowana w wielu innych przypadkach amplituda wahań cen wcale nie świadczy o trendzie zwykłym.

W niniejszym wykładzie mówiliśmy dotąd najwięcej o surowcach mineralnych. Jednakże dla ilustracji pewnych faktów z omawianej dziedziny warto rozszerzyć „koszyk” towarów na „pierwotne” w ogóle. Wtedy bowiem gwałtowność wahań cen staje się bardziej widoczna.

Weźmy dla przykładu kaczuk naturalny. Otóż gdyby jego ceny z 1963 r. przyjąć za 100, to w 1970 r. wynosiłyby one 77, w 1971 r. — nawet 62 i 63 w 1972 r. Ale już w 1973 r. wyniosły one 121, a w 1974 r. — nawet 135. Szczyt wystąpił przy tym w I kwartale 1974 r., kiedy to odpowiedni ich wskaźnik osiągnął poziom aż 182 punktów, aby w IV kwartale tego samego roku spaść do 97 punktów<sup>17</sup>.

Jeszcze większym „rekordzistą” był cukier. Przy poziomie jego cen z 1963 r. równym 100, w 1970 r. wyniosły one 68, w 1971 r. — 75 i w 1972 r. doszły do 97. W 1973 r. wskaźnik cen cukru osiągnął 127, a w 1974 r. — aż 345. Jednakże to jeszcze nie wszystko. W IV kwartale 1974 r. omawiany wskaźnik wynosił ni mniej, ni więcej tylko 537. A więc między 1970 r. a IV kwartałem 1974 r. ceny cukru wzrosły mniej więcej ośmiokrotnie.

Podobnych, aczkolwiek nie tak skrajnych przykładów dotyczących „towarów pierwotnych” można by cytować wiele. Stąd też niemal połowa obrotów w handlu międzynarodowym, w którym dominują prawa gospodarki kapitalistycznej, jest dokonywa-

<sup>17</sup> Por. *International Trade 1974/75*, jw., s. 23.



na na przysłowiowych „wariackich papierach”, co sprawia, że właściwie wszystko jest możliwe. Ta część handlu międzynarodowego stała się domeną jakiejś „wiedzy tajemnej”, która w żaden sposób nie może być opanowana nawet przez adeptów tej wiedzy... Wszelkie próby uporządkowania tej części handlu międzynarodowego kończą się wcześniej czy później fiaskiem. Albo też prowadzą do różnych jednostronnych decyzji dotyczących poszczególnych towarów, które również są pełne „przegięć”, jak choćby, mimo wszystko, decyzje OPEC w sprawie cen ropy naftowej.

Jednakże sprawy „towarów pierwotnych”, to już nie wyłącznie sprawy natury czysto handlowej. Sprawy te nabierają znaczenia politycznego, a nawet mają jakiś swoisty posmak ideologiczny. Wszystko to komplikuje znakomicie możliwość rozwiązania problemu. I jeśli można mieć wątpliwości co do alarmistycznych przepowiedni na temat rychłego wyczerpania się złóż poszczególnych surowców czy też niemożności zwiększenia upraw, to nie można zaprzeczyć faktowi, że rola wymiany międzynarodowej w uzupełnianiu lokalnych deficytów surowcowych będzie wzrastać. Od tego więc, jaka będzie ta rola w praktyce, zależy będzie „wysokość” naturalnej bariery rozwoju, jaką stanowi produkcja surowców i żywności.

Sprawa bowiem wygląda tak, że albo warunki wymiany międzynarodowej będą sprzyjać produkcji „towarów pierwotnych”, *via* bodźce stwarzane przez tę wymianę, albo nie będą sprzyjać. Gdyby to ostatnie miało być prawdą, to sprawa jest poważna. Żaden bowiem kraj nie może w obecnych warunkach liczyć na szeroko pojętą samowystarczalność w dziedzinie surowców. Co więcej, próby osiągnięcia takiej samowystarczalności mogłyby być niezwykle kosztowne i byłyby zaprzeczeniem racjonalnego gospodarowania w skali światowej. Ale to jeszcze nie wszystko.

Wiele krajów nawet największym wysiłkiem nie stworzy podaży surowców, których zwyczajnie nie ma, czy płodów rolnych, których uprawa jest w danych warunkach niemożliwa. Dla takich krajów może to stać się naturalną barierą rozwoju, na dodatek w sytuacji, gdy światu jako całości wcale to nie grozi.

Nie ulega więc wątpliwości, że należałoby „coś” uczynić przed „ostatecznym rozwiązaniem” problemu „towarów pierwotnych”,

które to rozwiązanie może z czasem podsunąć postęp naukowo-techniczny. To „coś” powinno być czymś w rodzaju zrationalizowania produkcji i dystrybucji „towarów pierwotnych” i to w skali światowej, co samo przez się zakłada odpowiednie zreformowanie wymiany międzynarodowej. Inaczej omawiana bariera naturalna może stać się istotnie rzeczywistością!

Wyjście naprzeciw temu problemowi staje się bodajże jednym z największych wyzwań rzuconych nie tylko międzynarodowym stosunkom gospodarczym, ale ludzkości w ogóle, przy czym, jak już wspominaliśmy, wyzwanie to należy dodatkowo rozpatrywać w całym złożonym kontekście sytuacji krajów rozwijających się. Jak dotąd, niestety, wszelkie próby podejmowane w tej dziedzinie są wręcz zniechęcające.

Warto się jeszcze nieco zatrzymać nad tym problemem.

Otóż w handlu międzynarodowym występuje wiele „towarów pierwotnych”, które mają istotne, jeśli wręcz nie podstawowe znaczenie dla funkcjonowania gospodarki światowej i w ogóle egzystencji ludzkiej. I nawet jeśli niektóre z nich nie mają tzw. najwyższego priorytetu, to nie należy zapominać, że w przypadku poszczególnych krajów, głównie rozwijających się, mogą one mieć absolutnie kluczowe znaczenie dla ich egzystencji i rozwoju ze względu na wpływy dewizowe osiąmane z ich eksportu.

Wyłączając paliwa, „towary pierwotne” można podzielić na trzy grupy:

- artykuły żywnościowe,
- surowce pochodzenia rolniczego,
- surowce mineralne.

W grupie artykułów żywnościowych do najważniejszych (wymienianych w różnych statystykach) pozycji w obrotach międzynarodowych należą: pszenica, kukurydza, ryż, mięso, masło, oleje i tłuszcze jadalne, pasze, ryby, cukier, kawa, kakao, herbata i owoce. Z surowców pochodzenia rolniczego największą rolę w handlu międzynarodowym odgrywają: bawełna, wełna, kauczuk naturalny, skóry, celuloza i drewno. I wreszcie wśród surowców mineralnych wymienić należy również, sześć ważniejszych pozycji, a mianowicie: miedź, rudę żelaza, cynę, boksyty, cynk i ołów.

W rzeczywistości liczba pozycji, które można uznać za ważne, jest znacznie większa i należałoby tu wspomnieć jeszcze o siarce, solach potasowych, fosforach, manganie, niklu, molibdenie, chromie, miedzi, jucie, sizalu i wielu innych towarach. W sumie więc, łącznie z czterema głównymi paliwami (ropa naftowa, węgiel, gaz ziemny i uran) można by się doliczyć około 50 „towarów pierwotnych”, które występują w handlu światowym i których znaczenie dla rozwoju gospodarki światowej i egzystencji ludzkości ma zasadnicze znaczenie. Te właśnie pozycje są istotne z punktu widzenia omawianej bariery naturalnej.

Warto poświęcić trochę uwagi przynajmniej niektórym z nich. Niestety, w chwili pisania niniejszego dane na ten temat były niepełne, a ponadto dotyczyły dość już odległego okresu, bo 1973 r. Ale nawet i takie dane (bez krajów socjalistycznych) mogą dać pewne wyobrażenie o sprawie.

Otóż w 1973 r. eksport światowy z krajów niesocjalistycznych osiągnął wartość około 517 miliardów dolarów. Pomijając ropę naftową, której wartość eksportu wyniosła w tymże roku „tylko” 38 miliardów dolarów (i ponad 100 miliardów w 1974 r.), co dawało jej bezwzględną palmę pierwszeństwa w handlu światowym jako pojedynczemu towarowi — inne pozycje też wywołują wrażenie. Podajmy tylko „miliarderów” i to niekoniecznie według kolejności zajmowanych miejsc, gdyż kolejność ta zmienia się w zależności od koniunktury. Oto oni <sup>18</sup>:

Pozycja towarowa	Wartość eksportu w miliardach dolarów	Pozycja towarowa	Wartość eksportu w miliardach dolarów
pszenica	— 7,1	skóry	— 1,7
ryż	— 1,4	kauczuk (z syntetycznym)	— 2,8
kukurydza	— 4,2	drewno	— 8,0
mięso	— 7,3	celuloza	— 3,4
masło	— 1,0	węlna	— 4,1
ryby	— 3,2	bawełna	— 3,1
owoce	— 4,8	ruda żelaza	— 4,2
cukier	— 4,2		

<sup>18</sup> Dane te zaczerpnięto z: *Yearbook of International Trade Statistics 1974*, t. II, UN, New York 1975, s. 386—640. W zestawieniu nie są uwzględnione kraje socjalistyczne.

kawa	— 4,6	węgiel	— 3,2
kakao	— 1,3	miedź	— 7,2
oleje i tłuszcze		aluminium	— 3,0
jadalne	— 5,4	nikiel	— 1,1.

Trzeba tu jeszcze zaznaczyć, że wartość eksportu metali nieżelaznych jest w tym zestawieniu zaniżona, ponieważ nie uwzględniono sumy 4,8 miliarda dolarów przypadającej na pozycję „rud i koncentraty metali nieżelaznych”.

Zresztą nie chodzi nawet o dokładne sumy, które i tak często się zmieniają, a o sam fakt olbrzymich rozmiarów eksportu poszczególnych towarów. Jakaś ilustracją tego niech będzie przykład, że sama tylko pszenica, która w omawianym roku trafiła do handlu światowego, pozwoliła na wyżywienie ponad 300 milionów ludzi.

W każdym razie z powyższego widać wyraźnie, że wymiana międzynarodowa spełnia rolę „układu krwionośnego”, zaopatrując gospodarkę poszczególnych krajów w deficytowe „towary pierwotne”. Nic więc dziwnego, iż handel tymi towarami, mimo że przypada na nie niecała połowa wymiany światowej, wywołuje tyle zaniepokojenia i wyzwala tyle namietności.

Jak już wspominaliśmy, problem ten jest drażliwy także dlatego, że spłotły się z nim problemy krajów rozwijających się, które 4/5 swych wpływów eksportowych uzyskują z „towarów pierwotnych” i które w handlu niektórymi z tych artykułów mają pozycję monopolistyczną albo prawie monopolistyczną. Tym samym problem „towarów pierwotnych” stał się wręcz problemem politycznym, co ma specyficzny wpływ na cały złożony kontekst omawianej bariery naturalnej.

A tymczasem chaos na tym polu trwa sobie w najlepsze... Nie zapominajmy, że około 350—400 miliardami dolarów, które w chwili pisania niniejszego przypadały na światowy eksport „towarów pierwotnych”, rządzą *de facto* „prawa dżungli”. A w dżungli wszystko jest możliwe... Nastroje „w tej materii” wahają się przy tym diametralnie. Raz trwa batalia o zagwarantowanie „towarom pierwotnym” wolnego dostępu do rynków zbytu, natomiast innym razem pojawiają się żądania wolnego dostępu do źródeł zaopatrywania się w nie. A przy tym są tu



towary i towary... Tylko że chaos w tej dziedzinie może być kiedyś naprawdę brzemienny w skutki, a „eksplozja” cen ropy naftowej jest tu chyba jakimś pierwszym „poważnym ostrzeżeniem”...

Jak już bowiem wyżej podkreślaliśmy, produkcja „towarów pierwotnych” jest z reguły wysoce kapitałochłonna, inwestycje mają długi okres „dojrzwania”, a niepewność co do warunków rynkowych w różny sposób wpływa na same decyzje inwestycyjne. Nieprawidłowe oceny powodują bądź nadmiar, bądź niedobór poszczególnych towarów. Przy okazji pełni się wszelkiego rodzaju marnotrawstwo, ponieważ albo nie wykorzystuje się wolnych mocy produkcyjnych, albo konsumuje się omawiane towary bez troski, albo się za nie przepłaca w okresach wysokiej koniunktury, uszczuplając środki na inne cele. Ale jak właściwie można ten problem rozwiązać? I to oczywiście tak, aby nie stał się on omawianą barierą naturalną?

Ogólnie wiadomo, że aby uniknąć takiej bariery, trzeba nie tylko rozwijać produkcję „towarów pierwotnych”, ale także racjonalnie nimi gospodarować. W obu przypadkach decydujący głos ma wiedza i postęp techniczny. Jednakże i wiedza, i postęp techniczny rozwijają się w określonych warunkach społeczno-ekonomicznych, zarówno wewnętrznych jak i zewnętrznych, czyli w określonym „środowisku”.

„Środowisko” to, przynajmniej w jednej z jego części, tj. w dziedzinie handlu międzynarodowego, jest nie sprzyjające dla rozwoju wiedzy i postępu technicznego w ogóle, a dla rozwoju produkcji „towarów pierwotnych” w szczególności. Wytworzyło się tu bowiem „błędne koło”, które musi być przecięte. Tylko przez kogo i w którym miejscu?

Logiczne wydaje się bowiem, że dla uniknięcia omawianej bariery naturalnej należałoby podwyższyć ceny „towarów pierwotnych” i w takim stopniu poprawić relacje tych cen do cen towarów przemysłowych, aby zapewnić odpowiednią ich podaż w przyszłości. Zmusiłoby to jednocześnie do oszczędnego gospodarowania tymi towarami. Jest to niewątpliwie prawda ogólna. Ale świat jest konkretny i istnieją na nim także prawa szczególne...

Podrożenie wszystkich „towarów pierwotnych” wpłynęłoby

nie tylko na doinwestowanie tej gałęzi produkcji, ale jednocześnie na dokonanie olbrzymiej redystrybucji dochodów narodowych w skali światowej, przy czym mimo powiązania zagadnienia „towarów pierwotnych” z problemami krajów rozwijających się — redystrybucja ta niekoniecznie byłaby korzystna dla tych krajów. W licznych przypadkach oznaczałaby ona „wyciek” części dochodu narodowego z niektórych krajów rozwijających się do innych krajów tej grupy albo, co gorsza, do krajów rozwiniętych. Te kraje rozwijające się, z których nastąpiłby odpływ dochodu, stanęłyby wówczas w obliczu naturalnej bariery rozwoju, jaką stanowi brak zaopatrzenia w „towary pierwotne”.

Co więcej, zanim doszłoby do pożądaných zmian na lepsze w dłuższym okresie, podróżenie tych towarów spowodowałoby podróżenie produkcji światowej w ogóle, co mogłoby osłabić tempo jej rozwoju albo wzmogłoby presję inflacyjną w świecie. Gdyby jeszcze sytuacja była tak idealna, że przyrost wpływów eksportowych z tytułu podróżenia „towarów pierwotnych” byłby natychmiast przeznaczany na zwiększenie importu towarów przemysłowych, a towary te byłyby natychmiast do dyspozycji, to może większych perturbacji by nie było. Ale takiego idealnego układu sytuacji w świecie nie ma. Wymiana międzynarodowa jest bardzo misternie utkana. Znalezienie miejsca i nożyc do przecięcia omawianego „błędneho koła” jest więc doprawdy trudne.

Z drugiej strony, tolerowanie obecnego stanu rzeczy również do niczego nie prowadzi, jako że jeśli chce się naprawdę uniknąć katastrofy w przyszłości, to prawie połową handlu światowego nie może rządzić „prawo dżungli”.

Oczywiście, obecna organizacja wymiany międzynarodowej w ogóle, a w dziedzinie „towarów pierwotnych” w szczególności, podporządkowana jest porządkom kapitalistycznym, które zakładają, że „siły rynkowe” jakoś tam optymalne rozwiązania wcześniej czy później znajdują... Ale czy naprawdę znajdują?

Wątpliwości co do tego, zwłaszcza po „eksplozji” cen ropy naftowej, są liczne i to w samym świecie kapitalistycznym. Coraz bardziej bowiem do świadomości nawet wielu apologetów gospodarki rynkowej dociera fakt, że krótkookresowe kryteria rynkowe nie rozwiązują problemu w dłuższym okresie, zwłaszcza w dziedzinie tak złożonej jak „towary pierwotne”. Coraz bar-

dziej oczywiste staje się też, że istniejący tu chaos może doprowadzić do takiej kumulacji błędów i sprzeczności, iż zaczną się one w końcu ujawniać w drodze gwałtownych eksplozji, tak jak to było z ropą naftową. W efekcie doprowadzi to *de facto* do pojawienia się omawianej bariery naturalnej rozwoju i to na długo przed wyczerpaniem się (jeśli takie w ogóle wchodzi w grę) podaży „towarów pierwotnych”. Nawet jeśli taka bariera początkowo nie zahamuje rozwoju gospodarki światowej, to z pewnością go poważnie zdeorganizuje.

W świetle tego, co obserwuje się w świecie, perspektywa taka jest zupełnie realna. Przy tym, jak to przed chwilą wspomniano, paradoks całej sytuacji może polegać na tym, iż bariera taka nie będzie usprawiedliwiona brakiem fizycznych możliwości uzyskiwania niektórych „towarów pierwotnych”. A ponieważ historia jest pełna paradoksów, przeto nie można wykluczyć jeszcze jednego paradoksu tego rodzaju...

Żeby sprawę skomplikować jeszcze bardziej, trzeba koniecznie podkreślić, że aczkolwiek postęp naukowo-techniczny może kiedyś spowodować „ostateczne rozwiązanie” problemu, to jednocześnie drogi do tego rozwiązania bynajmniej nie ułatwia.

Wygląda to znów na paradoks, ale tak to jest. Właśnie ze względu na ów postęp — zbyt dalekosieżnych założeń w dziedzinie produkcji poszczególnych „towarów pierwotnych” robić nie można, a krótkookresowe rozwiązania już nie wystarczają. Postęp naukowo-techniczny bowiem nie tylko wprowadza wiele surowców zastępczych, rozwija recykлизację surowców naturalnych i w ogóle rewolucjonizuje metody produkcji „towarów pierwotnych”, ale także wpływa bezpośrednio na kształtowanie się popytu na nie. Dokładne ustalenie wielkości tego popytu w dłuższym okresie jest zatem ryzykowne ze względu na różne niespodzianki niesione przez ten postęp. Stąd i angażowanie się w inwestycje mające w dość odległej przyszłości zapewnić zaspokojenie określonego popytu na „towary pierwotne” może obfitować w pomyłki i to wysoce kosztowne. Dlatego też pogląd, że w tej dziedzinie należy zachować maksimum elastyczności i nie przywiązywać się zbyt do różnych wizji zbyt daleko wybiegających w przyszłość — też nie jest zupełnie pozbawiony racji. Ostatecznie można dowodzić, że jak dotąd rozwój gos-

podarki nie był zahamowany brakiem „towarów pierwotnych” i podobnie może być również w przyszłości...

Prawdą jest, że postęp naukowo-techniczny zawsze wybawiał ludzkość z kłopotów związanych z brakiem podaży tradycyjnych surowców. Przecież kiedyś „nawozy sztuczne” otrzymywano z popiołu spalanych drzew liściastych, a klej z jesiotrów. A kiedy zaczęło brakować i jednych, i drugich — sięgnięto do surowców zastępczych. Często tradycyjne surowce, jak np. saletra używana do produkcji prochu, nigdy nie odzyskiwały utraconych pozycji. Ale czy taka „ślepa wiara” w postęp naukowo-techniczny może obecnie ludzkości wystarczać? Zwłaszcza że świat współczesny konsumuje olbrzymią i stale rosnącą masę „towarów pierwotnych”, których produkcja w tak ogromnej skali prowadzi niewątpliwie w niektórych przypadkach do szybkiego wyczerpywania się łatwo dostępnych złóż i obszarów uprawnych oraz do zagrożenia środowiska naturalnego.

Problem jest więc złożony, ale nie oznacza to, iż można go pozostawić samemu sobie. Nie ulega wątpliwości, że wymaga on jakiegoś generalnego rozwiązania. Niestety, koncepcje w tej dziedzinie, pomijając już możliwość ich realizacji, są dość nie-liczne i w dodatku nie mają charakteru całościowego.

Na przykład rozwinięte kraje kapitalistyczne wierzą na ogół, iż „siły rynkowe” same będą podpowiadać różne rozwiązania. Najlepiej więc byłoby stworzyć im możliwości maksymalnie swobodnego działania i czekać spokojnie na rezultaty. Jednakże ostatnio można coraz częściej zaobserwować odstępstwa od tej „zasady”. Zresztą i dawniej państwo interweniowało w omawianych krajach w sprawy podaży i popytu „towarów pierwotnych”, gdyż nie bardzo dowierzano „siłom rynkowym”. Dało się to zaobserwować zwłaszcza w rolnictwie, choć nie tylko, i najczęściej w skali krajowej i częściowo tylko regionalnej (np. wspólna polityka rolna EWG).

Ostatnio jednak „nierynkowe” koncepcje pojawiają się już w szerszej skali. Chodzi tu konkretnie o próbę rozwiązania problemu energii przez kraje skupione w Międzynarodowej Agencji Energetycznej. Inspiratorem tych rozwiązań są USA, które jednocześnie są zagorzałym i głównym obrońcą swobody działania „sił rynkowych”...



Prawdę mówiąc, rozwinięte kraje kapitalistyczne nie mogą się dotychczas pochwalić jakimiś pozytywnymi osiągnięciami w tej dziedzinie, nie mówiąc już o kosztach takiego interwencjonizmu.

Zresztą, ogólnie rzecz biorąc, są one przeciwne jakimś ogólnosiwiatowym „nierynkowym” rozwiązaniom problemu „towarów pierwotnych”. Szczególną aktywność w wyrażaniu tego sprzeciwu wykazują USA, a także RFN i Japonia. A jeśli już nawet zgadzają się na jakieś cząstkowe „uporządkowanie” tego problemu tu i ówdzie, to tylko pod warunkiem, że rozwiązanie takie nie narusza istoty swobodnego działania „sił rynkowych”. Sprzeciw tylko tych trzech krajów zaś wystarcza właściwie do sparaliżowania jakiegokolwiek propozycji w omawianej kwestii. Stąd i fiasko wielu inicjatyw, często zresztą naprawdę dalekich od jakichś radykalnych rozwiązań.

Z kolei kraje rozwijające się, działając głównie za pośrednictwem różnych organizacji międzynarodowych i innych porozumień typu kartelowego — próbują rozwiązać problem w kontekście własnych interesów. W taki sposób narodził się np. w UNCTAD „Zintegrowany program surowcowy”, który staje się głównym problemem w pracach tego forum.

Jednakże właśnie ze względu na próbę rozwiązania tego problemu w kontekście interesów tylko krajów rozwijających się, albo raczej przede wszystkim w ich interesie, cała sprawa, nawet w przypadku jej powodzenia (co jest więcej niż wątpliwe) — byłaby rozwiązaniem połowicznym. Przede wszystkim lansowane rozwiązanie objęłoby tylko niektóre „towary pierwotne”, w których zainteresowane są kraje rozwijające się. Z towarów tych wyłączona jest jednak ropa naftowa, jako że jej problem eksporterzy uznają za prawie rozwiązany.

„Zintegrowany program surowcowy” miałby objąć 19 „towarów pierwotnych”<sup>19</sup>, z czego 10 miałyby stanowić jego „rdzeń”. Owa „dziesiątka” obejmowałaby: kawę, kakao, herbatę, cukier, bawełnę, kauczuk naturalny, jutę, sizal, miedź i cynę, a następna „dziewiątka”: banany, wołowinę, cielęcinę, boksyty, rudę żelaza, nasiona roślin oleistych, rudę manganu, drewno z krajów tropikalnych i fosforyty.

<sup>19</sup> Lista tych surowców nie jest ostateczna.

Co się tyczy pierwszej „dziesiątki”, to kraje rozwijające się mają monopolistyczną lub prawie monopolistyczną pozycję w ich eksporcie. W pozostałej „dziewiątce” sprawa wygląda różnie.

Założenie „Zintegrowanego programu” polega na tym, że zamiast rozwiązywania problemów każdego „towaru pierwotnego” z osobna — rozwiązanie byłoby globalne dla wszystkich surowców objętych programem (chodzi tu na razie przede wszystkim o pierwszą „dziesiątkę”).

Omawiany program miałby dwa cele główne:

— poprawienie *terms of trade* krajów rozwijających się, zapewnienie im rosnących wpływów dewizowych z tytułu eksportu towarów objętych programem oraz zminimalizowanie krótkookresowych wahań ich cen;

— stymulowanie bardziej „uporządkowanego” rozwoju światowych rynków towarowych zarówno w interesie producentów, jak i konsumentów.

Trzeba zaraz podkreślić, że przetłumaczenie tego na język praktyczny nie jest proste i wywołuje wiele sporów między ewentualnymi uczestnikami „Zintegrowanego programu”<sup>20</sup>.

Realizacja celów głównych wymaga bowiem, w myśl omawianego programu, „ustanowienia i utrzymania cen «towarów pierwotnych»” na poziomie, który byłby „sprawiedliwy dla konsumentów i rentowny dla producentów”, który odpowiednio reagowałby na presję inflacyjną w świecie, który stwarzałby odpowiednie bodźce inwestycyjne w gałęziach produkujących omawiane towary, który rekompensowałby producentom ubytek tzw. surowców nieodnawialnych i który, wreszcie, chroniłby surowce naturalne przed konkurencją syntetycznych.

Pogodzenie tyłu rzeczy naraz nie wydaje się możliwe, ale warto przynajmniej odnotować same koncepcje. Otóż realizacja programu opierałaby się na stworzeniu odpowiednich zapasów objętych nim surowców i administrowaniu nimi. Zapasy byłyby finansowane z wkładów wnoszonych przez uczestników programu, tzn. przez producentów i konsumentów (a nawet przez instytucje międzynarodowe) w różnej wysokości. Taki wspólny fundusz wynosiłby na początek 3 miliardy dolarów, z opcją na dalsze 3 miliardy. Rola zapasów polegałaby głównie na maksymalnym

<sup>20</sup> Znalazło to wyraz na IV Konferencji UNCTAD (maj 1976 r.).

eliminowaniu gwałtownych wahań cen towarów objętych programem.

Nie wchodząc w szczegóły, należy jednak powiedzieć, że niezależnie od wielu słabych stron proponowanego programu trzeba mu przyznać oryginalność założeń. Jest to niewątpliwie jakaś próba rozwiązywania problemu w sposób nietradycyjny i mimo wszystko nie bardzo „rynkowy”. Negocjacje dotyczące tych zagadnień, zainicjowane na IV Sesji UNCTAD, mają się zakończyć przed upływem 1978 r.

I wreszcie kilka słów należy poświęcić krajom socjalistycznym, tj. krajom RWPG, które też dokonują pewnych wysiłków zmierzających do rozwiązania omawianego problemu. Rozwiązania podejmowane są tu w skali regionalnej i polegają głównie na dokonywaniu „wspólnych inwestycji” w dziedzinie produkcji wybranych surowców i paliw. Innymi metodami racjonalizacji tej produkcji są: wzajemna koordynacja planów rozwojowych, zawieranie wieloletnich porozumień o wzajemnych dostawach „towarów pierwotnych”, wspólne badania nad oszczędzaniem ich zużycia, produkcją surowców zastępczych itp. Ponadto, kraje RWPG popierają niektóre proponowane rozwiązania o skali ogólnoświatowej, w zależności od charakteru tych rozwiązań.

Tyle więc można by pokrótce powiedzieć na temat podejmowanych przez różne grupy krajów rozwiązań omawianego problemu. Wszystkie te próby, nawet w przypadku ich powodzenia, są jednak dalekie od radykalnego rozwiązania problemu.

Teoretycznie przynajmniej wydaje się, że prawidłowym rozwiązaniem na obecnym etapie byłoby jakieś „globalne zarządzanie zasobami naturalnymi i ziemiami uprawnymi”, tj. w skali światowej. Pozwoliłoby to na pewną racjonalizację produkcji i konsumpcji „towarów pierwotnych” i przygotowałyby stopniowo świat do zachodzących w tej dziedzinie zmian ilościowych i jakościowych. W ten sposób bariera naturalna mogłaby być wydatnie odsunięta w czasie (jeśli w ogóle kiedyś by się pojawiła). Można by bowiem w sposób konsekwentny dążyć do jakiegoś „ostatecznego rozwiązania” omawianego problemu „towarów pierwotnych”.

Świat jest jednak konkretny i takie „globalne zarządzanie” nie ma realnych szans powodzenia. Należy się więc serio liczyć

z utrzymaniem się obecnego stanu jeszcze przez długi czas i to ze wszystkimi konsekwencjami stąd płynącymi. Kontynuowanie zaś dotychczasowej „szarpaniny”, jeśli istotnie nie przyspieszy pojawienia się omawianej bariery naturalnej, to może przynajmniej stworzyć wrażenie, że stajemy w jej obliczu. Produkcja „towarów pierwotnych” może być bowiem ograniczana nie wy-czerpywaniem się ich złóż czy obszarów uprawnych, a ich niedoinwestowaniem lub inwestowaniem chybionym, które będzie pomnażać chaos i pogłębiać nieracjonalność gospodarowania w skali światowej.

Jeśli do tego dodać wielokrotnie już wspomniany „kontekst” krajów rozwijających się, to sprawa komplikuje się jeszcze bardziej. Słuszne dążenia tych krajów do przejmowania kontroli nad bogactwami naturalnymi znajdującymi się na ich terenie mogą niestety działać hamująco na inwestowanie w produkcję „towarów pierwotnych”. Obcy kapitał bowiem do takich inwestycji się nie kwapi, a uzyskanie koniecznych funduszy i ekspertyz z innych źródeł jest nie zawsze i nie w pełni możliwe. Co więcej, obcy kapitał prywatny może się nawet uciekać do różnych machinacji, aby taką ewentualną konkurencję „podciąć”, co może sprawić, że inwestycje takie będą nierentowne.

Zresztą kraje rozwijające się, mimo najlepszych chęci nawet, są naprawdę za słabe ekonomicznie na podejmowanie poszukiwań i eksploatacji wielu surowców. Nieliczne wyjątki w tym względzie nie stanowią jeszcze o regule. Szczupłe możliwości techniczno-ekonomiczne tych krajów muszą być ponadto rozpraszane na wiele dziedzin, ponieważ konieczność zdywersyfikowania ich gospodarki nie pozwoli na inwestowanie tylko w produkcję „towarów pierwotnych”.

Sprawy nie rozwiążą te niektóre kraje „naftowe”, które przejściowo rozporządzają znacznymi nadwyżkami dewizowymi. Po prostu nie są one przygotowane do tego rodzaju operacji.

W efekcie więc tego wszystkiego inwestycje w produkcję omawianych towarów nie tylko mogą okazać się niedostateczne w stosunku do pokładanych w nich nadziei, ale mogą się stawać coraz bardziej nieracjonalne, co wynika stąd, że inwestycjami tymi w coraz większym stopniu zaczynają rządzić kryteria polityczne. Każdy kraj chce bowiem maksymalnie uniezależnić się



od dostaw omawianych towarów z zewnątrz i w takim stopniu, w jakim go na to stać, rozwija ich produkcję albo produkcję towarów zastępczych u siebie. W takiej sytuacji nakłady na jednostkę produkcji muszą rosnać i to wtedy, gdy wiele wysoko-wydajnych złóż czy gleb jest nie doinwestowanych albo produkty uzyskane z ich eksploatacji nie mogą znaleźć zbytu. Wszystko to osłabia tempo rozwoju gospodarki światowej przez podrażnienie tego rozwoju wskutek nieracjonalnego inwestowania. To zaś wywołuje wrażenie, że stajemy przed naturalną barierą rozwoju w postaci różnych „wąskich gardeł” w zaopatrzeniu w poszczególne „towary pierwotne”

I wreszcie ten stan rzeczy uszczupla nakłady na postęp naukowo-techniczny, który jest jedynym środkiem mogącym wcześniej czy później doprowadzić do „ostatecznego rozwiązania” problemu, jeśli naprawdę świat chce uniknąć bariery naturalnej, jaką stanowi brak surowców.

Niedoskonałość mechanizmu wymiany międzynarodowej, co podkreślaliśmy już wyżej, odgrywa więc obiektywnie rolę hamulca w rozwoju gospodarki światowej ze względu na anarchię panującą na rynkach „towarów pierwotnych”. A anarchia ta, jeśli nie będzie zastąpiona jakimś uporządkowanym systemem racjonalnego gospodarowania bogactwami naturalnymi globu — stać się może istotnie wspomnianą już wielokrotnie naturalną barierą rozwoju.

## Wykład szósty

### *Zasady i podmioty międzynarodowych stosunków gospodarczych*

W świetle poprzednich wykładów staje się jasne, że międzynarodowe stosunki gospodarcze nabierają niemal decydującego znaczenia dla dalszego rozwoju ludzkości. Stąd też w niniejszym wykładzie chcielibyśmy zwrócić uwagę na zasady i podmioty występujące w międzynarodowych stosunkach gospodarczych i to pod kątem ich wpływu na rozwiązywanie problemów współczesnego świata.

W wykładzie drugim mówiliśmy już częściowo o problemach, które wiążą się z obecnym wykładem, ale tylko częściowo. Chodziło tam raczej o pewien historyczny przekrój kształtowania się międzynarodowych stosunków gospodarczych oraz o pewne ilościowe aspekty zagadnienia. Obecnie postaramy się rozwinąć poruszony wcześniej temat, gdyż wydaje się, że mamy już pewien pogląd na przyczyny leżące u podstaw pewnych komplikacji, jakie niewątpliwie wystąpiły w dziedzinie rozwoju gospodarki światowej i handlu międzynarodowego.

Bariery, przed którymi stoi dalszy rozwój ludzkości, są wielorakie i wcale nie takie proste do pokonania, jakby się mogło pozornie wydawać. Geniusz ludzki musi się jednak z nimi uporać.

Co innego jednak bariery typu naturalnego, a co innego bariery typu instytucjonalnego. Istnieją nawet wątpliwości, czy te ostatnie w ogóle istnieją. Nie wszyscy bowiem wierzą, że coś jest nie w porządku z zasadami i podmiotami składającymi się na takie, a nie inne międzynarodowe stosunki gospodarcze.

Z wykładów na temat naturalnych barier rozwoju wiemy, że ludzkość natknęła się na pewne problemy, które muszą być rozwiązane. Rzecz tylko w tym, że nie ma zgody co do tego, jakie

instytucjonalne ramy gwarantowałyby najszybsze i najskuteczniejsze rozwiązania.

W wykładzie drugim wspomnieliśmy, że w międzynarodowych stosunkach gospodarczych dominuje nadal „centrum” złożone z rozwiniętych krajów kapitalistycznych, które stworzyło odpowiednią „strukturę” służącą ich konkretnym interesom, choć dodaliśmy, że „struktura” ta znajduje się w stanie agonialnym. Postarajmy się więc zastanowić nad możliwością przebudowy obecnie dominującej „struktury” na jakąś inną, która sprostałaby zadaniom piętrzącym się przed ludzkością. Ostatni wykład poświęcimy „nowemu międzynarodowemu łaadowi ekonomiczemu”, ale zanim do niego dojdziemy — obecny i następny wykład potraktujemy jako coś w rodzaju wprowadzenia.

Zgódźmy się od razu, że zasady i podmioty określające obecne międzynarodowe stosunki gospodarcze, a więc „instytucjonalna rama” tych stosunków, są nie mniej ważne niż różne „czynniki naturalne”, które rozwój gospodarki światowej i handlu międzynarodowego mogą przyspieszać lub opóźniać.

Na owe zasady i podmioty składają się takie zjawiska, jak multilateralizm, regionalizm, bilateralizm, korporacje globalne, organizacje i porozumienia międzynarodowe oraz interwencjonizm państwowy. To jeszcze dalece nie wszystko, ale wystarczająco dużo jak na jeden wykład.

Otóż cechą charakterystyczną stworzonej przez „centrum” i dominującej w świecie współczesnym „struktury” jest zasada stosunków multilateralnych. Multilateralizm w wydaniu „struktury” sprowadza się do kilku kardynalnych „prawd”, które są logiczną konsekwencją istnienia takich, a nie innych podmiotów w „centrum”. Podmiotem dominującym w „centrum” jest przedsiębiorstwo prywatne. Wspominaliśmy też w drugim wykładzie o obsesji amerykańskiej na punkcie „wolnego przedsiębiorstwa” i „wolnego handlu”. Nie ulega wątpliwości, że jedno warunkuje drugie.

Multilateralizm, jaki znamy obecnie, jest niczym innym jak daleko posuniętą swobodą działania wielkiego kapitału w sferze międzynarodowych stosunków gospodarczych.

Swoboda ta znalazła wyraz w zasadach Układu Ogólnego w Sprawie Ceł i Handlu (GATT), o którego genezie mówiliśmy

już poprzednio, jak również w statucie Międzynarodowego Funduszu Walutowego (IMF), o którym także wspominaliśmy.

Wskutek znanych wydarzeń w światowych stosunkach walutowych IMF praktycznie stracił jednak na znaczeniu i na „placu boju” pozostał tylko GATT, którego zasady mają ciągle jeszcze „moc urzędową”. GATT jako taki poddawany jest jednak obecnie trudnemu testowi „rundy tokijskiej”, która może nawet zdecydować o jego dalszym istnieniu.

Jak już wspominaliśmy, multilateralizm stworzony przez „strukturę” i ucieleśniony w Układzie Ogólnym jest jakby ramą prawną dla swobody działania wielkiego kapitału, występującego pod postacią przedsiębiorstw lub banków prywatnych. Jest to tak oczywiste, że Układ Ogólny nie uważa nawet za konieczne podkreślanie tego faktu, zajmuje się natomiast wyjątkiem od tej reguły w postaci „przedsiębiorstwa państwowego”, którego istnienie, aczkolwiek dopuszczalne, jest uważane za swojego rodzaju kuriozum. Artykuł XVII Układu „zezwała” na istnienie takiego przedsiębiorstwa, ale zgodę tę obwarowuje różnymi zastrzeżeniami, których sens sprowadza się do tego, że przedsiębiorstwu takiemu nie wolno dyskryminować przedsiębiorstw prywatnych. Nie ważne nawet, jaki to ma skutek praktyczny, ale chodzi o to, że „ideałem” ma być przedsiębiorstwo prywatne, a nie państwowe.

Ani słowem nie wspomina się w Układzie o przedsiębiorstwach typu socjalistycznego, choć na ogół utożsamia się je z państwowymi. Oczywiście jest jednak, że przedsiębiorstwo socjalistyczne nie mieści się w „regułach gry” przewidzianych przez Układ Ogólny dla państwowego przedsiębiorstwa kapitalistycznego.

Instytucja multilateralizmu, dominująca obecnie w świecie, jest w ogóle dość osobliwa. Sygnatariuszami Układu Ogólnego są bowiem rządy, które przejęły na siebie rolę „stróżów porządku”, natomiast faktycznymi partnerami w wymianie międzynarodowej są przedsiębiorstwa prywatne. Rola rządów polega zatem na ustalaniu i przestrzeganiu takich „reguł gry”, jakie podpowiedzą im przedsiębiorstwa prywatne (do przedsiębiorstw prywatnych zaliczamy tu także prywatne gospodarstwa rolne).

Multilateralizm w „wydaniu GATT” ma w swym arsenale kilka podstawowych zasad, z których najważniejsza, ujęta w artyku-



le I Układu, jest zasada multilateralizacji klauzuli największego uprzywilejowania. Paragraf 1 Artykułu I głosi bowiem, że: „Wszystkie korzyści, ulgi, przywileje i zwolnienia przyznane przez jedną z Układających się Stron produktowi pochodzącemu z lub przeznaczonemu do innego kraju — będą natychmiast i bezwarunkowo rozszerzone na podobny produkt pochodzący z lub przeznaczony do terytorium wszystkich innych Układających się Stron”<sup>1</sup>.

Co prawda Układ Ogólny wymienił wyjątki od tej zasady, które sprowadzały się do uznania istniejącego w dniu jego podpisania stanu faktycznego w dziedzinie różnych preferencji celnych i innych ulg przyznanych sobie nawzajem przez sygnatariuszy Układu. Zresztą „elastyczność” ta dotyczyła nie tylko zastanego stanu rzeczy, ale i jego możliwej ewolucji w przyszłości. Artykuł XXIV dopuścił bowiem możliwość powstawania „unii celnych” i „stref wolnego handlu”, głosząc w paragrafie 4, że: „Układające się Strony uznają, iż pożądane jest zwiększanie swobody wymiany handlowej przez rozwijanie, za pośrednictwem dobrowolnie zawieranych układów, bardziej ścisłej integracji gospodarki krajów uczestniczących w takich układach”<sup>2</sup>.

Z „prawa” tego skorzystały później kraje tworzące EWG, EFTA, LAFTA i CACM, ale oczywiście najwięcej EWG, co praktycznie „pogrzebało” zasadę wielostronności KNU, która jest podstawą istnienia Układu Ogólnego. Ale nie ulega wątpliwości, że w zamiśle multilateralizacja KNU miała się przyczynić do umocnienia zasady „wolnego handlu”.

Co więcej, Układ Ogólny nie zatrzymał się tylko na tworzeniu jakiegoś „wolnego rynku” światowego w oderwaniu od rynków narodowych. Przynajmniej na papierze uznano, że sygnatariusze Układu Ogólnego nie będą się uciekali do żadnej innej ochrony swoich rodzimych przedsiębiorstw niż ochrona celna. Paragraf 1 Artykułu III stwierdza mianowicie, że: „Układające się Strony uznają, że podatki i inne obciążenia wewnętrzne, jak również akty prawne, zarządzenia i przepisy dotyczące sprzedaży, wprowadzania do sprzedaży, kupna, transportu, dystrybucji lub użytkowania produktów na rynku wewnętrznym oraz ograniczenia

<sup>1</sup> *Texte de l'Accord general*, t. 4, Genève 1969, s. 2.

<sup>2</sup> Tamże, s. 43.

ilościowe ustalające skład, przetworzenie lub użytkowanie w ilościach lub proporcjach określonych w stosunku do niektórych produktów — nie powinny być stosowane wobec produktów importowanych lub krajowych w sposób ochraniający produkcję rodzimą”<sup>3</sup>.

Teoretycznie więc stworzono jakby ramy dla „konkurencji doskonałej”, tym bardziej że Układ Ogólny nie tylko przewiduje znoszenie różnych ograniczeń w wymianie towarowej, które wynikają ze szczególnych okoliczności, ale w paragrafie 1 Artykułu XXVIII (bis) mówi o możliwości organizowania przez Układające się Strony okresowych negocjacji mających na celu „znaczoną redukcję” ceł lub, jak to przewiduje paragraf 2(a), ich „konsolidację”, czyli zamrożenie ich poziomu. Wprawdzie Układ Ogólny nie zaleca formalnie kompletnego zniesienia ochrony celnej, która z natury rzeczy utrudnia ową „konkurencję doskonałą”, lecz kolejne „rundy” rokowań przeprowadzone w ramach GATT dążyły nie tylko do redukcji ceł, ale także do ich eliminacji.

Oczywiście w praktyce istniało i istnieje szereg możliwości obchodzenia zasad Układu Ogólnego, który zresztą w Artykułach XX i XXI przewiduje możliwość niestosowania go, a w Artykule XXII — możliwość konsultacji mających na celu rozważanie kwestii związanych z jego stosowaniem. W praktyce kraje rozwinięte, zwłaszcza większe, zawsze bez trudu uzyskiwały dla siebie „wyjątki” (*waivers, derogations*), jakie chciały, a po wprowadzeniu Części IV Układu zwolniono *de iure* kraje rozwijające się z obowiązku „bilansowania wzajemnych koncesji”, czyli z dotrzymywania postanowień Artykułu I, który jest kamieniem węgielnym Układu. Artykuł XVIII dopuszcza z kolei ingerencję państwa w sprawy rozwoju gospodarczego, zwłaszcza w przypadku krajów rozwijających się, które *de facto* mogą nie stosować zasad Układu Ogólnego.

W praktyce Układ Ogólny nie próbuje zresztą dociekać, czy dany kraj rozwijający się stosuje się do jego wymogów czy nie, jeśli tylko uznaje się, że ma on „gospodarkę rynkową”. To już wystarcza. Rozstrzyga tu więc kryterium polityczne.

Możliwość stosowania „wyjątków” jest formalnie ograniczona

<sup>3</sup> Tamże, s. 6.

zgodą Stron i w dodatku określa się dopuszczalny okres ich obowiązywania, ale z kolei okres ten można odnawiać.

Tak więc „GATT-owski multilateralizm” propaguje zasadę quasi-wolnego handlu, który nadal jest oficjalną filozofią „centrum”. W rzeczywistości jednak multilateralizm ten znajduje się w bardziej złożonej sytuacji, niż mogłoby to wynikać tylko z samej lektury Układu Ogólnego.

GATT zwykło się nazywać „klubem”, w którym dominują rozwinięte kraje kapitalistyczne. Regulamin tego „klubu” nie jest jednak w praktyce akceptowany przez większość „bywalców”.

Przed wszystkim kraje rozwijające się, jak już wspominaliśmy, nie stosują się w codziennym działaniu do zasad regulaminowych i nikt nawet tego od nich nie oczekuje.

Warto zaznaczyć, że regulamin ów został po 18 latach istnienia bardzo zasadniczo zmodyfikowany przez wspomniane wyżej wprowadzenie Części IV do Układu Ogólnego (w 1966 r., choć później modyfikowano pewne postanowienia). Część IV podzieliła członków „klubu”, czyli Układające się Strony, na „mniej rozwiniętych” (Artykuł XXXVI) i „rozwiniętych” (Artykuł XXXVII)<sup>4</sup>.

Interpretacja „multilateralizmu GATT-owskiego” jest więc różna. Wszystko bowiem zależy od tego, czy jest się mniej czy bardziej rozwiniętym (oczywiście gospodarczo) „bywalcem klubu”.

Sprawa jest niebagatelna. Na 83 kraje członkowskie GATT tylko 20 uznano za rozwinięte (w tym Irlandię, która ostatnio zaczyna głosić, że jest krajem rozwijającym się; Islandię, która prawie nie bierze udziału w pracach GATT, i Luksemburg, który często reprezentowany jest przez Belgię).

Z kolei 60 krajów uważa się za rozwijające się (w tym 3 socjalistyczne: Jugosławię, Kubę i Rumunię), natomiast Czechosłowacja, Polska i Węgry nie są zaliczane do żadnej z tych grup, ale traktowane są raczej jako kraje rozwinięte, choć wszyscy zdają sobie sprawę z ich szczególnego statusu. Gdyby jeszcze dodać kraje biorące udział w pracach GATT na warunkach niepełnego członkostwa, to liczba krajów rozwijających się wzrosłaby do 79.

<sup>4</sup> Por. tamże, s. 35–39.

W porównaniu z 1947 r., kiedy to podpisywano Układ Ogólny, sytuacja uległa radykalnej zmianie. Wówczas na 23 sygnatariuszy aż 12 rekrutowało się spośród krajów rozwiniętych. Przesunięcie się sił, choćby nawet tylko formalne (GATT jest „demokratyczny”, gdyż każdy kraj rozporządza jednym głosem), jest więc oczywiste.

Stąd też „multilateralizm GATT-owski” jest jakby odziedziczony z innych „lepszyc czasów” i trwa siłą bezwładu. Wprawdzie „centrum” podtrzymuje go jeszcze swym „ciężarem gatunkowym”, ale już nie „konceptyjnym”, gdyż inicjatywa wymyka mu się stopniowo z rąk. Większość członków bowiem nie uznaje *de facto* omawianego multilateralizmu, a Część IV Układu jest wręcz zasadniczo sprzeczna z jego duchem i do niedawna także literą. Ale na tym nie koniec.

„Multilateralizm GATT-owski” nie wytrzymuje także próby życia w obrębie samego „centrum”. Przed wszystkim przez długi czas większość krajów „centrum” stosowała wobec Japonii, czyli ważnego członka tegoż „centrum”, Artykuł XXXV, który zwalniał je od stosowania się do wymogów Układu<sup>5</sup>. Wynikało to stąd, że Japonii zarzucano, iż ona sama też nie stosuje się do jego wymogów.

Jeszcze gorzej *de facto*, choć nie *de iure*, układają się sprawy między krajami EWG a pozostałymi krajami „centrum”, zwłaszcza stosunki z USA, Kanadą, Australią i Nową Zelandią. Tutaj omawiany multilateralizm zderzył się ze swym głównym wrogiem — z regionalizmem, występującym „pod postacią” obszarów preferencyjnych, których istnienie musi z natury rzeczy pozostawać w sprzeczności z zasadą multilateralizacji KNU. Paradoks całej sytuacji polega na tym, że zasada ta, stanowiąca najważniejszą część „struktury” narzuconej większości świata przez „centrum” — rozbija i „strukturę” i samo „centrum”.

Regionalizm „w postaci” obszarów preferencyjnych nie może być sam przez się w zgodzie z multilateralizmem<sup>6</sup>, ale też „mul-

<sup>5</sup> Artykuł ten stosuje nadal Austria, również należąca do „centrum”.

<sup>6</sup> O. Long, dyrektor generalny GATT, tak mówił na ten temat: „Ogólnosiwiatowa tendencja do regionalizacji, widoczna szczególnie w Europie, dodała silnego bodźca obrotom międzynarodowym. Ale także przesunęła układ sił i odpowiedzialność w tychże obrotach międzynarodowych, a w niektórych dziedzinach wywołała niezadowolenie co do stopnia, w jakim ugrupowania regionalne mogą spo-



tilateralizm GATT-owski” obszarów tych nie tylko nie zlikwidował, ale wręcz zostawił wyżej już wspomnianą „furtkę” dla ich powstawania. Dlaczego do tego doszło?

Mówiąc w skrócie, ewolucja sytuacji w świecie niesocjalistycznym poszła po II wojnie światowej w innym kierunku, niż spodziewali się „ojcowie” Układu Ogólnego.

W wykładzie drugim wspominaliśmy już o tym, że w „centrum” dominowały w tym czasie USA i że stworzona „struktura” została niemal w całości „zaprogramowana” przez ten kraj. W miarę jednak upływu czasu obok USA, które same w sobie są regionem gospodarczym, zaczęły się w „centrum” krystalizować inne regiony gospodarcze: dwa w Europie Zachodniej, tzn. EWG i EFTA, a obecnie w zasadzie już tylko EWG, oraz Japonia. Tarcia, które zaczęły się w związku z tym pojawiać, występowały przy tym głównie na osi USA—EWG, czy też odwrotnie. „Multilateralizm GATT-owski” znalazł się więc bez przesady w śmiertelnym niebezpieczeństwie i USA postanowiły go ratować. Ostatecznie był to „ich” multilateralizm.

Walkę z regionalizmem USA rozpoczęły na forum GATT. Formalnie zapoczątkowała ją ustawa (Trade Expansion Act of 1962), która dawała prezydentowi USA prawo negocjowania z partnerami handlowymi USA, w skali dotąd nie znanej, sprawy zniesienia i redukcji ceł. Jej prawdziwym celem było jednak osłabienie EWG. USA, które z pobudek politycznych początkowo popierały powstanie EWG, teraz zorientowały się, że ich bezpośrednie interesy są zagrożone i że w ogóle integracja regionalna może oznaczać dezintegrację samego „centrum” i osłabienie roli, jaką w nim odgrywały.

W latach 1963—1967 przeprowadzono na forum GATT kolejne negocjacje taryfowe, które znane są pod nazwą „rundy Kennedy’ego”. Rezultaty tej rundy były jednak daleko skromniejsze od oczekiwań USA. Nie udało im się złamać oporu EWG przeciwko eliminacji bądź redukcji ceł na artykuły rolne, a i w innych dziedzinach nie osiągnęły one założonych celów. Praktycznie negocjacje odbyły się w ramach „centrum”, głównie w czwo-

wodować erozję podstawowych zasad Układu Ogólnego oraz w jakim mogą skomplikować problemy eksportowe krajów do nich nie należących” (dokument GATT/1112, z 3 maja 1973 r. s. 3).

roboku USA—Komisja EWG—Japonia—Wielka Brytania. Prawdę mówiąc, amerykański regionalizm, występujący pod płaszczykiem „multilateralizmu GATT-owskiego”, stoczył bój z innymi regionalizmami istniejącymi w ramach „centrum”.

Większości członków GATT, tj. krajów rozwijających się, nikt nawet nie pytał o zdanie w trakcie negocjacji i nawet nikt się nie przejmował wyrażonym przez nie niezadowolaniem z wyników „rundy”. Po zakończeniu „rundy” sytuacja skomplikowała się jednak jeszcze bardziej, gdy EWG zaczęła „połykać” kraje EFTA, montować obszar preferencyjny w basenie Morza Śródziemnego i rozszerzać „obszar stowarzyszonych krajów zamorskich” (b. kolonii francuskich i belgijskich) o słabo rozwinięte zamorskie kraje brytyjskiego Commonwealthu (po przystąpieniu Wielkiej Brytanii do EWG). Tym razem wyglądało już na to, że na „multilateralizm GATT-owski” został niemal wydany wyrok śmierci. W dodatku apologetci regionalizmu w wydaniu EWG, ponoszeni przedczesnym optymizmem, zaczęli „przebąkiwać” o stworzeniu unii płatniczej i ekonomicznej, a nawet może politycznej, co już zupełnie nie mieściło się w zasadach Układu Ogólnego, który zatrzymywał się na unii celnej i strefie wolnego handlu.

USA zaczęły gorączkowo działać. Okazji nie musiały nawet specjalnie szukać. Utrzymujący się od lat chroniczny deficyt w ich bilansie płatniczym zaczął nawet w 1971 r. przechodzić w deficyt handlowy. Spekulacja przeciwko dolarowi zaczęła się zaostrzać, a koniunktura wewnętrzna zaczęła się załamywać. Główny filar „centrum” zaczął się chwiać. Tymczasem EWG i Japonia prosperowały, przy czym w poważnym, jeśli nie głównym stopniu, dzięki swoistemu marazmowi w USA. To dodatkowo zirytowało USA, które nawet nie bez pewnej dozy racji zaczęły się zastanawiać, dlaczego miałyby ponosić ciężar „obrony” 350 milionów ludzi (licząc EWG i Japonię), same mając tylko 200 milionów obywateli?

Cokolwiek by powiedziano, prawdą jest, „arytmetyczną” przynajmniej, że deficyt płatniczy USA był jednoczesną nadwyżką płatniczą EWG, głównie RFN, oraz Japonii. I nic tu USA w ramach „swojego” czy też „GATT-owskiego” multilateralizmu poradzić nie mogły. Ale do czasu...

Przeciwdziałanie rozpoczęto od akcji, która miała doprowadzić w końcu do negocjacji, ale już po stworzeniu pewnych „faktów dokonanych”. W dniu 15 sierpnia 1971 r. R. Nixon „uderzył w stół”, znosząc wymienialność dolara, „puszczając” go na płynny kurs, co równało się jego dewaluacji, wprowadzając podatki na połowę importu i dokonując jeszcze szeregu innych posunięć, które natychmiast stworzyły radykalnie nową sytuację w konflikcie USA z pozostałymi członkami „centrum”.

Teraz można już było rozpocząć negocjacje z „pozycji siły”. Trzeba przyznać, że nie okrzepłe regionalizmy EWG i Japonii ugięły się pod ciosem. Nie ostatnim zresztą. USA postawiły warunki, które zostały niemal w całości zaakceptowane. Niezależnie od porozumienia walutowego, tzw. smithsoniańskiego, z grudnia 1971 r., o czym będzie mowa w następnym wykładzie, USA zapowiedziały, że będą w GATT dążyć do otwarcia następnej rundy negocjacji, która miałaby doprowadzić do „odbudowy” zakłóconej równowagi między prawami i obowiązkami ujętymi w Układzie Ogólnym. Formalnie przynajmniej wyglądało na to, że „multilateralizm GATT-owski” rozpocznie w ramach nowej rundy decydujący bój z rozkładającym go regionalizmem. Nowa runda miałaby nie tylko objąć absolutnie wszystkie towary, z rolnymi w szczególności, co byłoby głównym uderzeniem w regionalizm EWG *via* jej „wspólna polityka rolna”, ale też nie ograniczałaby się wyłącznie do przeszkód taryfowych. Na równi z nimi, a może nawet przede wszystkim, „dobrano by się” do przeszkód nietaryfowych i parataryfowych, których dotąd naliczono ponad 800<sup>7</sup>.

Formalnie więc „multilateralizm GATT-owski”, znajdujący się niewątpliwie w stanie agonalnym, dostałby potężny „zastrzyk wzmacniający pacjenta”, a zdecydowanie osłabiający „chorobę” Układu Ogólnego, czyli regionalizm, który zaczął stawać się nie wygodny dla interesów USA.

Tak doszło do „rundy tokijskiej”, która toczy się od września 1973 r., ale do dzisiaj (tj. do grudnia 1976 r.) nie osiągnięto widocznego postępu w negocjacjach<sup>8</sup>. Znane wypadki na „are-

<sup>7</sup> Por. dokument GATT/1118, z 8 lutego 1973 r., s. 5.

<sup>8</sup> Początkowo uważano, iż „runda” mogłaby się zakończyć w 1975 r.

nie monetarnej”, kryzys naftowy oraz głęboka i przeciągająca się recesja gospodarcza w „centrum” nie stworzyły dogodnej aury dla „rundy”. Ponadto USA nie spieszą się już z jej zakończeniem. W porównaniu bowiem z pozostałymi członkami „centrum” znajdują się one, wskutek różnych okoliczności, w lepszej sytuacji i założone przez siebie cele mogą osiągać bez wdawania się w negocjacje. Poza tym chyba nie wierzą już w powodzenie ambitnych celów regionalnych.

Nie ulega wątpliwości, że kryzys naftowy, walutowy, żywnościowy i plaga inflacji, która podważyła trwającą latami koniunkturę w „centrum”, osłabia USA relatywnie mniej niż pozostałe kraje „centrum”. Ale na tym nie koniec. Ten swoisty „bukiet krzysów” postawił pod znakiem zapytania możliwość przerośnięcia EWG w jednolity organizm polityczno-gospodarczy.

H. Kissinger w swoich propozycjach dotyczących nowej „Karty Atlantyckiej”, która co prawda nie doczekała się nawet poważnej dyskusji, zupełnie otwarcie podzielił role w „centrum”. USA miałyby mieć interesy „globalne”, podczas gdy inni jego członkowie, w tym i EWG, „regionalne”. Wynikałoby stąd jednak niedwuznacznie, że „regionalizm” musiałby być w ostatecznej instancji podporządkowany „globalizmowi” USA.

Oczywiście, zapewnienia H. Kissingera o jakimś „równym partnerstwie” były jedynie grzecznościowe. Prawdziwe partnerstwo mogłoby mieć miejsce ewentualnie tylko wtedy, gdyby doszło do rzeczywistej integracji w ramach EWG. Na to jednak chyba się w ogóle nie zanoszą i USA doskonale o tym wiedzą.

W 19 lat po podpisaniu Traktatu Rzymskiego i po początkowych euforiach — EWG jest dalej od celu, niż to się zwykło uważać. „Ojcowie EWG” w większości „poszli w zaświaty”, a starszaki w osobach J. Monneta i R. Schumanna nie odgrywają żadnej roli w życiu politycznym krajów EWG (w chwili pisania niniejszego, tj. w grudniu 1976 r., obaj jeszcze żyją). O stworzeniu unii monetarnej i ekonomicznej w 1980 r. nikt już poważnie w EWG nie myśli. „Chłuba” EWG, tj. wspólna polityka rolna, poddana będzie generalnej rewizji, nie mówiąc już o tym, że wszyscy są z niej niezadowoleni, a ostatnia włosko-francuska „wojna winna” przybrała wręcz rozmiary kryzysu w łonie EWG. Polityka regionalna w zasadzie nie może ciągle ujrzyć światła



dziennego, a o energetycznej czy innych — lepiej nie wspominać.

Prawdę mówiąc, historia nie zna przykładu powstania unii ekonomicznej i walutowej „pod nieobecność” unii politycznej. EWG jeszcze do niedawna chciała jednak postawić przysłowiowy wóz przed koniem. Skutki nie dały na siebie długo czekać.

Regionalizm „w wydaniu EWG” stanął więc w obliczu fundamentalnych decyzji, które trzeba podjąć w okresie, kiedy sytuacja gospodarcza w całym świecie niesocjalistycznym skomplikowała się w sposób nie mający precedesu w historii powojennej, kiedy realia polityczne wyglądają inaczej niż w okresie tworzenia EWG i kiedy, wreszcie, zabrakło na scenie „Europejczyków” — P. H. Spaaka, K. Adenauera, A. De Gasperiego, J. Becha, J. Monneta i R. Schumanna.

Czym naprawdę miała być EWG — nigdy nie było zupełnie jasne. Nie rozstrzygnięto, czy miała to być „Europa ojczyzn”, czy „europejska ojczyzna”. Niejasność tę pogłębiła zwłaszcza „era de Gaulle’a”, ale nawet jego odejście nic tu nie wyjaśniło. Rozszerzenie się EWG do dziewięciu krajów — i to m. in. o Wielką Brytanię — wniosło nowy i bardziej złożony element konfuzji.

Przede wszystkim w EWG brak jest jakiejś zorganizowanej siły politycznej w postaci partii, która bez zastrzeżeń opowiadałaby się za pełną integracją polityczną i ekonomiczną. S. Mansholt, b. wieloletni wiceprzewodniczący, a nawet przez pewien czas przewodniczący Komisji EWG, nie bez racji stwierdził, że: „budowa Europy [tzn. zintegrowanej Europy Zachodniej — przyp. mój Z. R.] jest walką”<sup>9</sup>. Jest oczywiste, że walkę taką mogą prowadzić określone partie polityczne, ale które?

Ani jeden ze sprawujących swój urząd w chwili pisania niniejszego szef państwa czy rządu krajów członkowskich EWG, a reprezentują oni partie będące u władzy, nie jest zdeklarowanym „Europejczykiem”. Nie jest nim socjaldemokrata H. Schmidt (znane są nawet jego cierpkie uwagi na temat EWG w ogóle). Nie jest nim „niezależny republikanin” V. Giscard d'Estaing. Nie jest nim labourzysta J. Callaghan i nie jest nim chadek G. Andreotti. Inni są tu mniej istotni.

<sup>9</sup> S. Mansholt, *La crise*, Paris 1974, s. 59.

Co do samych partii, to mozaika ich zaskakuje szeroką gamą barw i odcieni. Chadecka w RFN nie chciałaby uchodzić za partię konserwatywną, a konserwatyści brytyjscy za chadecję. Wobec tego nie mogą działać w ścisłym sojuszu na rzecz „budowy Europy”. We Francji nie ma nawet odpowiednika ani jednych, ani drugich. Włoska chadecja jest tak bardzo włoska, że zapewne znalezienie przez nią wspólnego języka z chadecją zachodnioniemiecką, nie mówiąc już o chadecji z mniejszych krajów EWG byłoby trudne ze względu na jej zbyt katolicki „odcień”.

Cały więc EWG-owski nurt chrześcijańsko-demokratyczny<sup>no-</sup>-konserwatywny nie jest „europejską” siłą polityczną, na którą można by tu liczyć. Ponadto brakuje jej „francuskiego gniwa”, gdyż UDR jest nurtem stanowiącym centrum, a partie stojące od niej na prawo są bez koalicji z nią za słabe do samodzielnego działania.

Nie lepsza jest sytuacja w ruchu socjaldemokratycznym. Jak słusznie powiedział S. Mansholt: „socjaliści zneutralizowali socjalizm”<sup>10</sup>, co oznacza, że stawiają interesy narodowe (jest tylko kwestią, co się za te interesy uważa) przed interesami „Europy”. Socjaldemokracja zachodnioniemiecka w ogóle ma krótkie „doświadczenie EWG-owskie”, a ponadto nie wiadomo, czy utrzyma się przy władzy po następnych wyborach, gdyż jej alians z „wolnymi demokratami” nie jest pewny. Ma więc swoje kłopoty i „Europą” nie tylko się nie przejmuje, ale wręcz zaczyna się do niej krytycznie ustosunkowywać (np. w sprawach wspólnej polityki rolnej, budżetu, funduszu regionalnego).

Labourzyści angielscy „doświadczenie EWG-owskie” mają jeszcze krótsze, a ponadto, mimo referendum, nie mają jednolitego stanowiska w sprawie „Europy”. Nie jest też pewne, jak długo utrzymają się przy władzy, a ich trudności wewnętrzne są tego rodzaju, że sprawy „Europy” spychają na dalszy plan.

Socjaliści francuscy nie są u władzy i nikt nie wie, w jaki sposób mogliby ją uzyskać bez sojuszu z komunistami. Werbalnie popierają co prawda budowę „zjednoczonej Europy”, ale nie wiadomo, jak byłoby w praktyce.

Włoska socjaldemokracja ma różne odłamy i o samodzielnym dojściu do władzy, lub nawet w koalicji pod jej przewodnictwem, nie

<sup>10</sup> Tamże, s. 77.

ma nawet co marzyć. Jej poparcie dla idei „budowy Europy” jest werbalne.

Nie lepsza jest sytuacja w innych, mniejszych krajach.

Co się zaś tyczy partii komunistycznych, to w omawianej kwestii mogą być brane pod uwagę tylko partie francuska i włoska. Stanowisko FPK wobec EWG jest negatywne, natomiast stanowisko WPK ma więcej niuansów, ale *summa summarum* jest — no też raczej negatywne (wątpliwe jest bowiem zadośćuczynienie jej postulatami wysuwanych pod adresem EWG).

W tym takim nie sprzyjającej „aury”, na jednym ze „szczytów” EWG w Paryżu w 1974 r., obciążono belgijskiego premiera L. Tinemansa misją opracowania do końca 1975 r. „konceptcji całościowej Unii Europejskiej”.

Raport taki został przez niego przygotowany, ale jak dotychczas, nie można się jakoś doczekać poważniejszej dyskusji w łonie EWG.

Wszystkie kraje wchodzące w skład EWG mają bardzo wykształconą „identyfikację narodową”, która w praktycznym działaniu nie sprzyja wywyższaniu się suwerenności narodowej, a integracja polityczno-ekonomiczna tego bezwzględnie wymaga. Werbalnie jednak konieczność taka jest uznawana.

W dodatku sprawa nie jest prosta i z ekonomicznego punktu widzenia. RFN i w mniejszym stopniu Francja to kraje „zdrowe” ekonomicznie<sup>11</sup>. Wielka Brytania i Włochy zaś są „chore”. W. Brandt trafnie to uogólnił mówiąc o „dwupoziomowej budowie Europy”, sprowadzającej się do tego, że RFN, Francja, Holandia, Belgia i Dania mogłyby budować „swoją Europę” i to szybko, natomiast inne kraje, tj. Wielka Brytania, Włochy i Irlandia „jakoś” by może za nimi podążyły...

Może jeszcze nie jest tak źle, jak to sądzą niektórzy twierdząc, że: „Europa jest skończona [...] ona naprawdę nigdy się nie zaczęła”<sup>12</sup>, ale podstaw do niewiary w omawianą „Europę” jest naprawdę wiele.

Jak więc w takiej sytuacji można mówić, że regionalizm „w wydaniu EWG” stał się śmiertelnym niebezpieczeństwem dla „GATT-owskiego multilateralizmu”? Przecież regionalizm EWG

<sup>11</sup> Do Francji coraz mniej się to odnosi.

<sup>12</sup> J. Fralon, *L'Europe c'est fini*, Paris 1975, s. 7.

zatrzymał się na „unii celnej” i „wspólnej polityce rolnej” i nie wiadomo, czy uda mu się przejść do następnych etapów.

Ale sam fakt jego istnienia wystarczy do „podkopywania” zasad omawianego multilateralizmu. W końcu na zewnątrz, zwłaszcza w GATT, EWG występuje jako blok, a jej protekcjonizm rolny odbija się niekorzystnie na handlu międzynarodowym. Najgorsze, że EWG może się nie cofnąć z zajmowanych pozycji, tak jak może się nie posunąć naprzód...

Tak czy owak EWG osłabia „GATT-owski multilateralizm” (warto wspomnieć, że ma ona ponad 80 różnego rodzaju porozumień preferencyjnych), ale i regionalizm w jej wydaniu nie jest opoką. I jeśli omawiany multilateralizm stanął na przysłowiowych rozstajnych drogach, to wcale nie lepiej jest z regionalizmem. Obaj stoją sobie na drodze, którą im zagradza następny przeciwnik — bilateralizm. Chodzi tu o bilateralizm występujący w świecie niesocjalistycznym, a przede wszystkim o ten praktykowany w „centrum”.

„GATT-owski multilateralizm” dopuszcza dyskryminację między sygnatariuszami Układu Ogólnego, ale nie dopuszcza jej selektywnego stosowania (chyba, że chodziłoby o „unię celną” czy „sferę wolnego handlu”). Bilateralizm zaś sam przez się oznacza jakąś selektywność w traktowaniu partnerów. Przy tym jednych się uprzywilejowuje, drugich zaś dyskryminuje. Co więcej, bilateralizm z reguły oznacza też rosnącą rolę interwencjonizmu państwowego, co z natury rzeczy jest sprzeczne z „GATT-owskim multilateralizmem”.

Bilateralizm jest na ogół utożsamiany z protekcjonizmem. Protekcjonizm może wynikać m. in. z poziomu rozwojowego kraju, ale to Układ Ogólny „przyjął do wiadomości” w swej IV Części, która jakby legalizuje protekcjonizm w krajach rozwijających się. Ale inaczej ma się rzecz z krajami „centrum”. Pomijając szczególne przypadki, protekcjonizm wiąże się tam najczęściej z ogólną sytuacją koniunkturalną. Jeśli następuje spadek koniunktury, to tendencje protekcjonistyczne wzrastają<sup>13</sup>. Nasila się ochrona rynku, zatrudnienia, bilansu płatniczego itp. Wszyst-

<sup>13</sup> Do końca 1975 r. uciekły się do niego, w ograniczonej co prawda mierze, Szwecja i Wielka Brytania. Wzrasta też poważnie niebezpieczeństwo protekcjonizmu (pod płaszczykiem antydumpingowym) w USA.



ko to stwarza warunki do wzmacniania więzi bilateralnych. Handel zaczyna się stawać jakby bardziej „konkretny”, trzeba go mieć „na oku”...

Ostatnie wydarzenia w świecie niesocjalistycznym stwarzają sytuację potencjalnie sprzyjającą „rozkładowi” zarówno multilateralizmu, jak i regionalizmu. Konkretnie problemy walutowe i towarowe zmuszają rządy do szukania rozwiązań też konkretnych, a nie ogólnych, niezależnie od tego, czy są to ogólne problemy multilateralizmu czy regionalizmu.

Tak np. kryzys naftowy zmusił rządy wielu krajów niesocjalistycznych, zwłaszcza tych, których waluty nie zostały dopuszczone do udziału w „recykliczacji petrodolarów” i które są uzależnione od importu ropy naftowej, do energicznego działania na rzecz aktywizacji swojego eksportu i uzyskania kredytów. Celem tu szczególnie rząd francuski, choć inne rządy „centrum” też się poważnie zaktywizowały. Nawet USA, które *de iure* ciągle się wypierają bilateralizmu, to jednak *de facto* wcale nie są mu aż tak bardzo przeciwnie. Od dawna zresztą rząd USA prowadził szereg zasadniczych bilateralnych rokowań z Japonią i Komisją EWG, a także wieloma innymi krajami. Teraz tendencje te się nasiliły.

Nie bez znaczenia jest też inny fakt. Otóż w momencie powstawania „GATT-owskiego multilateralizmu” niektóre kraje — zarówno w „centrum”, takie jak RFN czy Japonia, a nawet Francja, jak i w „hinterlandzie”, głównie obecne kraje „naftowe” — nie miały prawie nic do powiedzenia na temat jego zasad. Teraz, kiedy zarówno „GATT-owski multilateralizm”, jak i „EWG-owski regionalizm” znalazły się w trudnej sytuacji, wiele krajów „daje znać o sobie”, a bilateralizm najlepiej się do tego nadaje.

Z omawianej trójki „izmów” bilateralizm jest najstarszy, ale ostatnie lata wywoływały u niektórych wrażenie jego nieodwołalnego zmiernia. Tymczasem wygląda na to, że zaczyna się jego renesans.

Oczywiście, w chwili obecnej trudno jest przewidzieć, co w końcu weźmie górę — multilateralizm, regionalizm czy bilateralizm? Dwa pierwsze znalazły się obecnie w wyjątkowo skomplikowanej sytuacji, a bilateralizm dopiero zaczyna na nowo

dawać znać o sobie. Wydaje się jednak pewne, że powrót do „dawnych czasów”, które były najpierw znaczone multilateralizmem, a potem regionalizmem (chodzi o „czasy powojenne”) jest już niemożliwy. Ale co jest możliwe?

Decydująca jest tu oczywiście ogólna sytuacja polityczno-gospodarcza w świecie niesocjalistycznym i w ogóle w świecie, która może faworyzować takie, a nie inne rozwiązania. Jednakże w dłuższym okresie nie mniej ważną sprawą są podmioty będące „wykonawcami” takich czy innych rozwiązań.

Wspominaliśmy już wyżej o „wolnym przedsiębiorstwie”, do którego próbowano „dopasować” system handlu światowego, tworząc coś w rodzaju „wolnego handlu”. W tym systemie przedsiębiorstwo miało maksimum swobody działania, a rząd minimum możliwości interwencji.

Tak narodził się „GATT-owski multilateralizm”, w którym głównym podmiotem było prywatne przedsiębiorstwo. Potem zaczął się pojawiać „EWG-owski regionalizm”, w którym co prawda nadal przedsiębiorstwo prywatne było głównym podmiotem, ale rządy krajów członkowskich i Komisja EWG zaczęły aktywnie „pomagać” siłom rynkowym. Teraz zaś pojawia się bilateralizm, w którym rola rządów dalej się będzie wzmacniała.

Ale czy w świecie niesocjalistycznym zaszły jakieś głębsze zmiany w hierarchii podmiotów, które faworyzowałyby szczególnie jedną z trzech form rozwiązań?

Zacznijmy od „wolnego przedsiębiorstwa”, czyli przedsiębiorstwa kapitalistycznego, i nawet nieistotne, czy jest ono prywatne czy państwowe. Współczesne przedsiębiorstwa kapitalistyczne to już nie masa drobnych „familijnych” przedsiębiorstw, a przede wszystkim niewielka liczba przedsiębiorstw-gigantów, przy czym niektóre z nich mają większą produkcję niż wiele krajów (np. największa obecnie firma świata niesocjalistycznego, amerykańska korporacja naftowa Exxon, zajmowałaby ze swą produkcją 11 miejsce na liście największych „krajów-producentów”). Giganty te mają szeroko rozgałęzione interesy w wielu krajach, przy czym wiele z nich w ponad 100 krajach. Nazywa się je „korporacjami multinarodowymi”, „korporacjami transnarodowymi” lub ostatnio, najszlachetniej zresztą, „korporacjami globalnymi”.

W jakim stopniu niesocjalistyczny handel światowy kontrolowany jest przez owe korporacje — nie wiadomo. Wymienia się tu często cyfrę 65%, ale są to bardziej domysły niż stwierdzone dane. Ale jedno jest pewne, to mianowicie, że omawiane korporacje dominują w życiu gospodarczym świata niesocjalistycznego i w międzynarodowych stosunkach gospodarczych w ogóle.

Jak dalece działalność wielkich korporacji uzależniona jest obecnie od ich operacji zagranicznych, niech świadczy fakt, że 298 największych korporacji USA aż 40% swych zysków globalnych osiągało z tychże operacji. Ponad 30% obrotów towarowych USA przypada na 197 amerykańskich korporacji globalnych<sup>14</sup>.

Wpływ korporacji globalnych na rozwój gospodarczy świata niesocjalistycznego i międzynarodowych stosunków gospodarczych powiększa się dodatkowo, jeśli uwzględnić banki globalne, głównie amerykańskie, które kontrolują „układ smarowania”, czyli stosunki walutowe w obrotach międzynarodowych. Banki te są z reguły ściśle powiązane z korporacjami globalnymi (tzw. *interlocks*).

Korporacja globalna, w zależności od swego profilu produkcyjnego, nawet nie wielkości, ma najczęściej znaczną liczbę filii rozrzuconych po świecie, które łącznie z firmą macierzystą (będącą jednocześnie „kwaterą główną” korporacji) stanowią produkcyjną i handlową całość (filie czasem występują pod innymi nazwami niż firma macierzysta). Najważniejszą cechą korporacji jest „wszechświatowe podejście” do spraw produkcyjno-handlowych, czyli swoisty „globalizm” działania.

Warto podać kilka bliższych informacji dotyczących omawianych korporacji. Otóż w 1974 r. ogólna wartość sprzedaży zrealizowanej przez 50 największych korporacji globalnych wyniosła prawie 540 miliardów dolarów, czyli stanowiła ponad 1/6 wartości całej produkcji świata niesocjalistycznego. Niemal połowa (tj. 24) tych korporacji to korporacje amerykańskie, a wśród pierwszej „dwunastki” było ich aż 8 (w 1973 r. nawet 10, ale „eksplozja” cen ropy naftowej przesunęła niektóre „przetwórcze” korporacje amerykańskie, np. IBM, ITT i Chryslera, na dalsze miejsca, które z kolei zajęły 2 nieamerykańskie i jedna amery-

<sup>14</sup> Por. R. J. Barnet, R. F. Mueller, *Global Reach*, New York 1974, s. 17.

kańska korporacje naftowe). Ale dominacja USA została zachowana, gdyż 57% globalnej wartości sprzedaży, 53% wszystkich aktywów, 52% zatrudnionych i aż 68% zysków omawianych korporacji przypadało na korporacje amerykańskie<sup>15</sup>.

Ze względu na wspomnianą „eksplozję” cen ropy naftowej czołowe miejsca na liście zajęły korporacje naftowe, których aż 18 znalazło się wśród omawianej „pięćdziesiątki”, i na które przypadło prawie 50% globalnej wartości sprzedaży tejże „pięćdziesiątki”. Wśród 10 największych korporacji świata niesocjalistycznego aż 8 było naftowych i tylko 2 „przetwórcze” (obie amerykańskie: General Motors i Ford). Amerykańska korporacja naftowa Exxon zajęła pierwsze miejsce na liście, spychając aż na trzecie General Motors, która od lat zajmowała niezmiennie pierwszą pozycję. Brytyjsko-holenderska korporacja naftowa Royal Dutch Shell wyszła zaś na drugą pozycję, wypierając utrzymującego się na niej również od lat Forda, który spadł na czwartą pozycję na liście. Gdyby nie spadek popytu na samochody, jaki miał miejsce w USA w 1974 r., to prawdopodobnie General Motors spadłby na drugie, a nie na trzecie miejsce. Ale to tylko uwaga na marginesie.

Omawiana „pięćdziesiątka” dzięki „eksplozji” cen ropy umocniła swoją pozycję lidera, gdyż w na ogół złym roku 1974 wartość jej sprzedaży wzrosła aż o 38%, a zyski o 12%.

Wśród omawianych „wybrańców” reprezentowane jest 10 krajów, w tym 2 kraje rozwijające się, tj. Iran (państwowa firma naftowa NIOC) i Brazylia (również państwowa firma naftowa Petrobras).

Jak już wspomniano, dominują tu korporacje USA. Na drugim miejscu znalazła się RFN z 7 korporacjami, na które przypadało 9,4% ogólnej wartości sprzedaży „pięćdziesiątki”, a na trzecim Wielka Brytania z 5 korporacjami (w tym Unilever, który jest mieszaną korporacją brytyjsko-holenderską, ale o przewadze kapitałów brytyjskich), na które przypadało ponad 9% sprzedaży omawianej grupy koncernów. Gdyby jednak uwzględnić Royal Dutch Shell jako w połowie brytyjski, to korporacje angielskie znalazłyby się na drugim miejscu po amerykańskich i partycypowałyby w 12% w ogólnej sprzedaży „pięćdziesiątki”. Na czwar-

<sup>15</sup> Por. „Fortune”, sierpień 1975.



tym miejscu znalazły się 4 korporacje japońskie, na które przypadało 5% omawianej sprzedaży, a na piątym 3 korporacje francuskie mające 4% sprzedaży realizowanej przez „pięćdziesiątkę”. Szóste miejsce zajmowała irańska państwowa firma naftowa NIOC (powiązana z brytyjską półpaństwową firmą naftową British Petroleum), na którą przypadało nieco ponad 3% omawianej sprzedaży, siódme — holenderski Philips, ale gdyby uznać Royal Dutch Shell w połowie za holenderski, to korporacje holenderskie pod względem wielkości sprzedaży znalazłyby się na czwartym miejscu wśród omawianej „pięćdziesiątki”. Ósme miejsce zajmowały 2 włoskie korporacje (państwowa ENI i prywatna Montedison), na które przypadało 2,5% omawianej sprzedaży, na dziewiątym miejscu — szwajcarska Nestlé z nieco ponad 1% omawianego udziału i na dziesiątym — brazylijska Petrobras mająca mniej niż 1% udziału w sprzedaży „pięćdziesiątki”.

Powracając jeszcze do dominacji korporacji amerykańskich warto dodać, że wśród 300 największych korporacji działających poza granicami USA znalazło się w 1974 r. aż 26 filii korporacji amerykańskich, których łączna sprzedaż wyniosła 34 miliardy dolarów, co stanowiło 5% ogólnej sprzedaży w ramach omawianej „trzechsetki”. Największa z nich, Ford Motor of Canada znalazła się na 35 miejscu (z wartością sprzedaży równą 4,3 miliarda dolarów; teraz można rozumieć przyczyny stworzenia przez USA i Kanadę „strefy wolnego handlu częściami samochodowymi”), a Imperial Oil (filia Exxon w Kanadzie) znalazła się na 47 miejscu (odpowiednio 3,7 miliarda dolarów).

Gdyby uwzględnić filie największych korporacji amerykańskich, to w przypadku korporacji Exxon łączna wartość sprzedaży wyniosłaby nie 42, a co najmniej 53 miliardy dolarów (choć i ta suma jest niepełna). W przypadku General Motors byłoby odpowiednio nie 31,6, a co najmniej 34,3 miliarda dolarów, Forda — nie 23,6, a ponad 29,3 miliarda dolarów i wreszcie w przypadku IBM — nie 12,7, a 16,7 miliarda dolarów. W ogóle zaś największą korporacją w świecie niesocjalistycznym, i to „nienaftową” i „nieprzetwórczą”, była amerykańska korporacja „usługowa” American Telephone and Telegraph, której aktywa w 1974 r. wyniosły aż 74 miliardów dolarów<sup>16</sup>.

<sup>16</sup> Por. „Fortune”, lipiec 1975.

Tak więc nie ulega wątpliwości, że cały rozwój gospodarczy świata niesocjalistycznego i przeważająca część obrotów międzynarodowych odbywa się pod przemożnym wpływem korporacji i banków globalnych. One też, jako bezpośredni „wykonawcy” takich, a nie innych zasad stosowanych w międzynarodowych stosunkach gospodarczych będą miały decydujący głos w ustalaniu tych zasad.

W przeszłości, kiedy rodził się „GATT-owski multilateralizm” i „EWG-owski regionalizm”, instytucja korporacji globalnych była jeszcze ledwie dostrzegalna. Dziś sytuacja się radykalnie zmieniła. A co będzie w przyszłości?

Niektórzy<sup>17</sup> uważają, że w 1985 r. zapanuje nad światem (niesocjalistycznym oczywiście) 60 korporacji, w tym 50 amerykańskich. Wartość sprzedaży realizowanej przez tę „sześćdziesiątkę” wyniesie bilion dolarów (w cenach z 1970 r.), co równałoby się około 16 miliardów dolarów na jedną korporację. Jak będzie naprawdę — zobaczymy, ale warto zdać sobie sprawę, że powyższe sumy wcale nie są niemożliwe do osiągnięcia.

Jedno jest chyba pewne — trend w kierunku „gigantyzacji” i „globalizacji” korporacji kapitalistycznych nosi oznaki trwałości. Korporacje globalne wraz z bankami globalnymi będą próbowały, jak to zresztą już czynią obecnie, zaprowadzić swój „nowy międzynarodowy ład ekonomiczny”. Może to nie być ani „GATT-owski multilateralizm”, ani „EWG-owski regionalizm”, ani „rządowy bilateralizm”. Może być w nim wszystkiego po trochu, ale podmiotem decydującym będzie zapewne korporacja globalna.

Gdyby tak było, to „centrum” mogłoby umocnić swoją pozycję w międzynarodowych stosunkach gospodarczych. Nie należy się bowiem zbyt srogi sugerować faktem znalezienia się niektórych korporacji naftowych „hinterlandu” w ścisłej czołówce największych korporacji świata. W ostatecznej bowiem próbie sił zadecydują korporacje „przetwórcze”, ich siła finansowa i agresywność w działaniu. Korporacje takie są niestety domeną „centrum” i „hinterland” długo jeszcze będzie musiał czekać na stworzenie podobnych. Omawiane korporacje „przetwórcze” mogą się pokusić nie tylko o odbicie przez „centrum” utraconych w wyniku rozpadu systemu kolonialnego pozycji w świecie, ale niektóre z nich,

<sup>17</sup> Por. R. Lattes, *Tysiąc miliardów dolarów*, Warszawa 1973, s. 21.

konkretnie amerykańskie, mogą się także pokusić o podbój samego „centrum”...

Czy korporacje globalne, jako podmioty występujące w międzynarodowych stosunkach gospodarczych, mają odpowiednią przeciwwagę w innych podmiotach?

W grę mogą tu wchodzić jedynie międzynarodowe organizacje i porozumienia towarowe oraz oczywiście, rządy.

Co do pierwszych, a chodzi tu o organizacje i porozumienia typu międzyrządowego, to GATT i IMF nigdy nie próbowały nawet być taką przeciwwagą, a przeciwnie — pośrednio przyczyniły się do powstania instytucji korporacji globalnych. Pozostają więc organizacje systemu ONZ i porozumienia typu OPEC.

Na forum ONZ, tj. w Zgromadzeniu Ogólnym, ECOSOC, UNCTAD, UNIDO i komisjach regionalnych, o korporacjach globalnych mówi się ostatnio nawet dużo. Brutalna ingerencja ITT w sprawy wewnętrzne Chile za rządów S. Allendego z całą ostrością ujawniła metody działania tych korporacji, które już dawno zresztą wykraczają poza „ekonomiczne granice”.

Rada Gospodarczo-Społeczna Organizacji Narodów Zjednoczonych (ECOSOC) podjęła nawet w 1972 r. dwie rezolucje, tj. nr 1721/LIII i 1908/LVII, które postulowały zbadanie wpływu omawianych korporacji na proces rozwoju gospodarczego i stosunki międzynarodowe w ogóle. Opracowany w związku z tym raport „wybitnych osobistości”<sup>18</sup> należy nawet do ciekawych lektur, ale zestawienie długiej listy rekomendacji na temat, co owe korporacje powinny robić, a czego rządy-gospodarze powinny się od nich domagać — choć logicznej i nawet nieco krytycznej w stosunku do korporacji — nie oznacza jeszcze, że rekomendacje te będą realizowane w praktyce.

Nieco miejsca poświęciła korporacjom globalnym uchwalona przez XXIX Sesję Zgromadzenia Ogólnego ONZ Karta Ekonomicznych Praw i Obowiązków Państw, a znacznie więcej uchwalona przez VI Specjalną Sesję Zgromadzenia Ogólnego Deklaracja o Ustanowieniu Nowego Międzynarodowego Ładu Ekonomicznego (choć oba dokumenty zostały odpowiednio „oprotestowane” przez „centrum”, zwłaszcza USA).

Główny sens tych uchwał polega na nawoływaniu do kontroli

<sup>18</sup> Por. dokument ECOSOC, E/5500, z 14 lipca 1974 r.

działalności omawianych korporacji i podkreślanii prawa krajów, oczywiście rozwijających się, do „suwerenności ekonomicznej”, tzn. do rozporządzania własnymi bogactwami, aż do nacjonalizacji włącznie. Głównym niebezpieczeństwem dla korporacji globalnych jest właśnie nacjonalizacja ich własności i to bez odszkodowania.

Nie ulega wątpliwości, że sam fakt, iż na forum ONZ mówi się o korporacjach globalnych dużo i na ogół raczej nieprzychylnie, ma duże znaczenie psychologiczne. Zaostrza to bowiem swoistą czujność wielu krajów, głównie rozwijających się, wobec ich działalności. Ostatnio zaś „afery łapówkowe” (głównie Lockheed) czujność tę dodatkowo wzmacniają.

Ale nie wolno przesadzać. ONZ swoimi debatami i rezolucjami korporacji globalnych nie złamie.

Pewną przeciwwagą mogą być natomiast jakieś międzyrządowe stowarzyszenia producentów niektórych surowców znajdujących się głównie w krajach rozwijających się. Przykładem takiego stowarzyszenia może być Organizacja Krajów Eksportujących Ropę Naftową (OPEC — Organization of Petroleum Exporting Countries).

Stowarzyszenie to, a raczej międzyrządowy kartel naftowy składający się wyłącznie z krajów rozwijających się (choć np. Kuwejt trudno uznać za taki), powołane zostało do życia przez Arabię Saudyjską, Irak, Iran, Kuwejt i Wenezuelę w 1960 r. Obecnie OPEC liczy już 13 krajów, w tym jeden, tj. Gabon, jest członkiem stowarzyszonym. (Poza wymienionymi członkami-założycielami do organizacji tej należą obecnie również: Katar, Libia, Indonezja, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Algieria, Nigeria i Ekwador).

OPEC powstał jako próba samoobrony przed 7 gigantami naftowymi „centrum” (5 amerykańskimi: Exxon, Texaco, Gulf, Mobil i Socal oraz brytyjsko-holenderskiej korporacji Royal Dutch Shell i brytyjskiej British Petroleum).

Historia jego powstania była w skrócie następująca. Począwszy od 1916 r. rząd USA zaczął zachęcać amerykańskie korporacje naftowe do szukania ropy poza granicami kraju. Anglicy to już robili. Rozpoczęła się „naftowa inwazja” na niektóre obszary, głównie Wenezueli i Środkowego Wschodu, przez owe giganty (i wiele innych mniejszych firm naftowych). Wyzysk i pano-



szenie się przez obce korporacje naftowe stały się dla krajów „napadniętych” wręcz narodową sprawą. Już w 1949 r. Wenezuela, kraj o najdłuższych „doświadczeniach” w omawianej dziedzinie, zaczęła przemyśliwać nad jakąś samoobroną. Zaczęła szukać kontaktów z Arabią Saudyjską, Iranem, Irakiem i Kuwejtem w celu zorganizowania „wspólnego frontu”. Trzeba było jednak czekać 10 lat na pozytywny rezultat tych zabiegów. Zadanie ułatwiło zachowanie się obcych korporacji naftowych, które w 1959 r. jednostronnie obniżyły cenę ropy wenezuelskiej. W wyniku tego natychmiast spadły wpływy rządu Wenezueli z tytułu „podatków naftowych”. Następnie obniżono także cenę na ropę ze Środkowego Wschodu. Teraz zareagowały również kraje tego regionu. Odbyty w Kairze w 1959 r. tzw. Pierwszy Arabski Kongres Naftowy uchwalił rezolucję wzywającą obce korporacje naftowe do konsultowania wszelkich obniżek cen ropy. Wezwanie pozostało jednak bez echa. W sierpniu 1960 r. korporacje naftowe znów dokonały obniżki cen i to bez konsultowania się z kimkolwiek. W odpowiedzi na to we wrześniu 1960 r. powstał OPEC.

W poprzednim wykładzie wspominaliśmy już, że na kraje OPEC przypada 90% światowego eksportu ropy naftowej. Fakt ten nadał temu stowarzyszeniu szczególne znaczenie, jako że rola ropy naftowej we współczesnej energetyce jest, jak wiadomo, ogromna.

Nie będziemy się tu zatrzymywać nad wieloma faktami z działalności OPEC, ale powtórzmy raz jeszcze, że w wyniku jego działalności ceny ropy w ostatnim 5-leciu wzrosły prawie sześciokrotnie (27 września 1975 r. podano wiadomość, że wiedeńskie spotkanie ministrów krajów OPEC zdecydowało podwyższyć ceny ropy o dalsze 10%).

Ponieważ akcja krajów OPEC poszła, nie tylko w kierunku podwyższania cen ropy naftowej, ale także w kierunku nacjonalizacji (abstrahując od jej charakteru), a arabscy członkowie tego stowarzyszenia już raz zastosowali embargo na eksport ropy, przeto OPEC jako podmiot w międzynarodowych stosunkach gospodarczych stał się elementem nowym i mającym duże znaczenie. Ostrze jego działania jest przy tym wymierzone, mimo wszystko, zarówno przeciw obcym korporacjom naftowym, jak i przeciw samemu „centrum”.

Jak to trafnie powiedziano: „najbardziej dramatycznym efektem użycia przez OPEC broni naftowej było uczynienie szczyby w arogancji Zachodu” i że: „producenci ropy naftowej zwycięsko wykorzystali swój monopol, który jest w ich oczach niczym więcej niż uzasadnioną reakcją na to, co wygląda raczej na monopol kwalifikacji, technologii i kapitału, na których opiera się dobrobyt Zachodu. Nie wspominając już o tanich surowcach”<sup>19</sup>.

Czy takim porozumieniem jak OPEC uda się rzeczywiście w długim okresie uczynić wiele poważnych „szczyb” w ciele „centrum” i jego korporacji globalnych — to już inna sprawa. Ropa naftowa jest szczególnym surowcem. I chociaż kraje rozwijające się posiadające inne surowce, np. miedź, boksyty, fosforyty, wolfram, kawę, rudę żelaza, kauczuk i kilka innych, podejmują próby naśladowania posunięć dokonanych przez kraje „naftowe”, to jednak raczej do niczego tak spektakularnego jak w przypadku ropy naftowej nie dojdzie.

Tak więc, pomijając OPEC, międzyrządowe organizacje gospodarcze (i polityczne) oraz porozumienia towarowe nie są przeciwwagą dla takich podmiotów jak korporacje globalne. Wobec tego co może być taką przeciwwagą?

„Na placu boju” pozostały jeszcze rządy krajów niesocjalistycznych. O ich roli w aktualnej sytuacji gospodarczej w świecie już częściowo wspominaliśmy o tym przy okazji bilateralizmu.

Nie ulega wątpliwości, że nie wszystkie one są zwolennikami oddania międzynarodowych stosunków gospodarczych w „pacht” omawianym korporacjom. Na ogół jest tak, że rządy chętnie widzą wzrost siły „własnych” korporacji, natomiast są przeciwne umacnianiu się obcych korporacji na własnym terenie. Rząd USA „nie potrafi” zrozumieć, że ktoś może się obawiać inwazji kapitału amerykańskiego, ale broni się, jak tylko może, przed wtargnięciem obcego kapitału w „czułe” gałęzie gospodarki swego kraju.

Podobnie jest ze wszystkimi innymi rządami krajów kapitalistycznych. Są tu więc jakby dwie prawdy: jedna ogólna — uznająca korporacje globalne, a druga „szczególna” przyznająca rację bytu tylko „własnym” korporacjom. Komplikuje to poważ-

<sup>19</sup> Por. „The Economist” z 20 września 1975 r.

nie rolę rządów jako podmiotów w międzynarodowych stosunkach gospodarczych.

W świetle powyższego staje się więc oczywiste, że kształtowanie się zasad międzynarodowych stosunków gospodarczych zależy od konkretnych podmiotów w nich występujących.

Dotychczasowe zasady tych stosunków ulegają erozji, bo zmieniły się główne ich podmioty. W świecie niesocjalistycznym stały się nimi przede wszystkim korporacje globalne i banki globalne.

Jak udowodniliśmy, nie ma w świecie niesocjalistycznym przeciwwagi dla tych korporacji. Nie stanowią jej ani organizacje międzynarodowe, ani porozumienia towarowe, chyba tylko z wyjątkiem „kartelu naftowego” OPEC (choć jego organizacja i perspektywy istnienia są zasadniczo odmienne i mniej pewne niż korporacji i banków globalnych). Stąd przyszłe zasady międzynarodowych stosunków gospodarczych muszą brać te realia pod uwagę...

## Wykład siódmy

### *„Układ smarowania” — czyli stosunki walutowo-finansowe we współczesnym świecie*

Wśród wszystkich problemów rozwojowych i handlowych, z jakimi spotyka się każdy kraj „na co dzień”, na czoło wysuwają się te, które dotyczą spraw walutowo-finansowych. Stanowią one bowiem w międzynarodowych stosunkach gospodarczych swoisty „układ smarowania”. Wszystkie inne problemy, o których wspominaliśmy wyżej, sprowadzają się w końcu do codziennych „wpływów i wydatków”, a każdy kraj występuje w roli „kasjera” i nie może ani na chwilę stracić ich z pola widzenia.

W niniejszym wykładzie zajmiemy się dwiema sprawami: systemem walutowym i systemem finansowym (tym ostatnim raczej tylko pobieżnie). Oba one stanowią jedną całość i oba „prześladują” współczesny świat.

Rozważyliśmy poprzednio problemy demograficzne, żywnościowe, energetyczne i inne, ale wszystkie one wydają się jeszcze względnie oddalone, podczas gdy problemy walutowo-finansowe już stają na porządku dnia.

Bez systemów walutowego i finansowego międzynarodowe stosunki gospodarcze nie mogłyby właściwie istnieć, a jeśliby nawet istniały, to w formie i rozmiarach zupełnie niepodobnych do dzisiejszych. Powrót do wymiany prostej jest już dzisiaj niemożliwy. A zresztą nawet i prosta wymiana wymagałaby choćby najprostszymi rozliczeń i ktoś wcześniej czy później stawałby się wierzycielem bądź dłużnikiem. Inaczej funkcjonowanie nawet takiej wymiany byłoby utrudnione.

We współczesnym świecie najostrzejszy kryzys zarysował się właśnie w sferze walutowo-finansowej. Stosunki walutowo-finansowe są bowiem jakby „soczewką” ogniskującą wszystkie inne